ZESZYT KARNAWAŁOWY.

Nr. 2. Kraków-Podgórze. Luty 1911 r. Rok II.

Na dochód **DRUGIEJ KOLONII** SZKÓŁ ŚREDNICH Krakowa i Podgórza nakładem Wydziału „Towarzystwa kolonii wakacyjnych dla uczniów gimnazyów i szkół realnych“ w Starym Teatrze na balu 15 lutego 1911 r. wydana

CHWILA AKTUALNA

(Wydanie nocne)

Pod redakcyą

ANTONIEGO LEKSZYCKIEGO.

„Współpracownictwo przyjęli: WYBITNI LITERACI, PUBLICYŚCI I DZIENNIKARZE.

„Chwilę aktualną“ nabywać można w dyrekcyach gimnazyów i szkół realnych, w pensyonacie dla uczniów szkół średnich (plac Maryacki l. 9 II p.), w administracyi „Czasu“ i w księgarni Krzyżanowskiego.

Cena 1 korona.

Prof. Dr Franciszek Bylicki

Artykuł wstępny.

Ludwik Szczepański

naczelny redaktor *Nowin*

Panna Hala,

pastel karnawałowy.

Sylweryusz Chmurkowski

współredaktor *Głosu Narodu*

Reduta Prasy.

Szczęsny Feikel

członek redakcyi *Czasu*

Wywiad z Księciem Karnawału.

Boy

Pochwała wieku dojrzałego.

Aleksander Karcz

współredaktor *Nowej Reformy*

Kronika.

Adwokat Dr Ludwik Szalay

Z sali sądowej.

Szary Kruk

Ogłoszenia karnawałowe

Witold Noskowski

współredaktor *Czasu*

TELEGRAMY.

NADESŁANE:

Nr. 1.

CHWILI AKTUALNEJ

zawiera następujące artykuły:

Kazimierz Morawski: *W roku obchodu.* **Stanisław Tarnowski:** *Wspomnienie Andrzeja Potockiego.* **Stanisław Ciechanowski:** *Czy wyrodniejemy?* **Roman Zawiliński:** *Rodzice wychowani przez dzieci.* **Władysław St. Reymont:** *Z Martyrologii Unickiej.* **Włodzimierz Tetmajer:** *O rzepie, wiejska przypowieść.* **Adam Grzymała Siedlecki:** *Co jest teatrem w teatrze?* **Witold Noskowski:** *List z Krakowa.* **Józef Wiśniowski:** *Pieśń o Wielkim Krakowie.* **Klemens Bąkowski:** *Ballada Plantacyjna.* **Boy:** *Modlitwa estety.* **Edmund Zechenter:** *Kronika.* **Franciszek Bylicki:** *O niesłychanym rozwoju muzyki u nas.* **Klemens Bąkowski:** *Sprawy sądowe.* **Stanisław Stępiński:** *Nadesłane.* **Edmund Zechenter:** *Ostatnie wiadomości.*

Nr. 1 „Chwili aktualnej“ nabywać można w księgarniach Krzyżanowskiego, Spółki Wydawniczej Polskiej, Gebethnera i Sp., Friedleina, Wojnara i Frommera, w dyrekcyach szkół średnich, oraz u członków Wydziału Towarzystwa kolonii wakacyjnych.

FEJLETON:

Ludwik Szczepański: *Piękna pani X. w pojęciu Boya, Przybyszewskiego, Sienkiewicza i Zapolskiej.*

Tadeusz Żuk-Skarszewski: Akt V. *Rusałki.*

Adam Grzymała Siedlecki: *Imieniny Konika.*

DRUKARNIA „CZASU“ KRAKÓW.



ARTYKUŁ WSTĘPNY.

Dwie sprawy nieobliczalnej doniosłości zajmują w tej chwili Europę: sprawa ufortyfikowania Vlissingen i Szopka krakowska.

Przez ufortyfikowanie ujścia Skaldy, pragnie Holandya zadokumentować swoje prawa państwa wojującego, Szopka zaś stwierdziła szeregiem doniosłych aktów swoją neutralność. Jeżeli sprawa Vlissingen się zaostrzy, wyniknie niezawodnie z tego wielka szopka europejska. W niej wystąpi szereg lalek, które jednak tem się różnią od lalek krakowskiej Szopki, że mówić będą niezręczne kłamstwa, a śpiewać pieśni niemoralne i nieprzyzwoite. To też w całej tej sprawie najlepiej zoryentował się francuski minister Pichon, gdy wykrzyknął w Izbie znamienne słowa: „Dajcie mi Trzcińskiego, a sprawę Vlissingen załatwię w dwóch przedstawieniach — po pięćdziesiąt franków krzesło nienumerowane“. W związku też z tą deklaracyą ministra stoi zaproszenie Szopki krakowskiej do Paryża.

Tymczasem korespondent nasz, czcigodny a na polu publicystyki najzasłużeńszy nestor, Hipolit Łgarzewski, pozostający z całą europejską dyplomacyą na poufałej stopie, zaręcza nam w swojej korespondencyi, którą mam w ręku, której jednak nie będę przytaczał, gdyż jest piekielnie nudną — że jeżeli przyjdzie w sprawie Vlissingen do konferencyi — to tylko i wyłącznie w Krakowie.

A to dlatego, że *primo:* Kraków posiada rozmiarami i urządzeniem najodpowiedniejszy gmach na przyjęcie tylu dostojnych gości — a jest nią cukiernia Michalika przy ul. Floryańskiej; *secundo:* że Kraków równie niezrównanie urządzi szopkę międzynarodową, jak umie urządzać rozmaite inne; *tertio:* że członkowie konferencyi będą mogli wziąć od naszego niezrównanego Trzcińskiego kilka lekcyj w udawaniu. Rzecz cała zatem, jak widzimy, układa się wspaniale, a jeżeli Holandya się zobowiąże, że do fortyfikacyi Vlissingen użyje cegieł z piasku od nowej spółki Żeleńscy i ks. Dominik Radziwiłł, to sprawa pójdzie gładko. Ale jest ciemny punkt, który nas, Krakowian, bardzo niepokoi — oto projekt, aby na konferencyi podnieść sprawę upaństwowienia Szopki krakowskiej. Wielkie mocarstwa zgodzą się na to, ale my się nie zgodzimy — my Krakowianie z krwi i kości. Upaństwowienie bowiem Szopki krakowskiej, jest to zdeptanie wiekowej tradycyi naszego grodu; nigdy bowiem od Ottona Bezpryma nie zamącił żywota Krakowianina ani humor, ani dowcip.

Ja zaś, jako samozwańczy reprezentant krakowskiego dziennikarstwa na konferencyi, założę najuroczystszy protest w tych słowach: Sprzeciwiamy się wszelkiemu upaństwowieniu dowcipu i humoru, albowiem to nałoży na nas równy obowiązek, coby obniżyło naszą powagę i znaczenie u ludzi głęboko myślących, a jest nimi cały Kraków — za to proponujemy opodatkowanie dowcipu i humoru i zaliczenie go do sprzętów zbytkownych. Jeżeli Krakowianin, żyjący w nieustannych kłopotach, zamiast smutku ma humor, wprowadza w błąd przedewszystkiem cenzorów bankowych. Krakowianin zatem stanowiskiem społecznem i finansowem stworzony jest do powagi — a jeżeli przychodzą mu wesołe i zabawne myśli, niech za to płaci. Jeżeli patrzymy przez palce na import głupich i niesmacznych anegdotek wiedeńskich *via* Hawełka i Bisanz, to czynimy to wyłącznie ze względu na rozwój handlu i przemysłu.

Protest ten czytałem przedwczoraj na walnem zgromadzeniu T. Z. P. P. Tow. Zjednoczonych Psunabudesów i zrobiłem niesłychaną furorę.

Od chwili, kiedy ten i ów nie posiada się z radości, że się dostał do panteonu Szopki, napływa tyle podań i próśb do pogrzebania ich w tym przybytku, że komitet Szopki zmuszonym był prosić o opiekę konserwatorów.

O! Panowie Trzcińscy, Noskowscy, *et tutti quanti,* niedoczekanie wasze, byście burzyli wierszem to, co my budujemy prozą.

Kończąc tę smutną kwestyę mogę zaręczyć, że nigdy nie dopuścimy do upaństwowienia Szopki w granicach Wielkiego Krakowa, natomiast godzimy się na przeniesienie jej do Kobierzyna, gdzie Wydział krajowy buduje wspaniały gmach dla waryatów.



Trzecim punktem konferencyi międzynarodowej ma być budowa kanałów. Wiadomo, że dzięki kanałom, Anglia będzie mogła sprowadzić wszystkie swoje dreadnoughty na Grzegórzki, gdzie ani ogień, ani woda, ani nieprzyjaciel ich nie zabierze — w zamian za to gwarantuje Anglia neutralność Grzegórzek, co niesłychanie podniesie handel gęsiami tamże.

Dalej — Anglia w niewygasłej wdzięczności za to, że prasa krakowska poucza tak sumiennie społeczeństwo nasze o fluktuacyach, ewolucyach, emocyach Torysów, Whigów, o istocie Homerule'a i t. p., zobowiązuje się stale zaprowadzić w łamach dzienników angielskich kronikę krakowską wraz z programem teatrów i kinematografu, zapasy footbalowe, oraz odkrycia i wynalazki. Kto zatem wynajdzie nowy a tani handelek lub odkryje dziurę w asfalcie krakowskim, winien o tem niezwłocznie zawiadomić redakcyę *Timesa.*

Czwartym i ostatnim przedmiotem konferencyi ma być sprawa równouprawnienia dzieci. Wprawdzie dzieciom w pewnym wieku było i jest dozwolone to, coby nie uszło dorosłym, a nawet zasłużonym starcom; chodzi tu jednak o uświadomienie dzieci. Nauczmy się szanować przekonania, od noworodka do zgrzybiałego starca, a wtedy nastanie miłość i zgoda.

Wiadomo, że dzieci uratowały wrzaskiem Amsterdam przed inwazyą Filipa II, gęsi Rzym przed inwazyą Gallów. My, Bogu dziękować, mamy gęsi na Grzegórzkach, a w Krakowie dzieci, więc zabezpieczeni jesteśmy aż z dwóch frontów.

Oto wspaniały program międzynarodowej konferencyi. Miasto nasze dołoży wszelkich starań, aby dostojnym gościom uprzyjemnić pobyt.

Urządzane będą zatem co wieczór w sali Starego Teatru popisy uczniów szkół muzycznych, dalej odczyty w języku Esperanto o ruchu umysłowym Langwedoku, w kołach filozoficznych; temat: granice Poznania ze stanowiska topograficznego — w Resursie urzędniczej posiedzenie wydziału — w Kole literacko-artystycznem raut z paniami.

Ale rzućmy teraz okiem na sprawy bliższe sercu naszemu, na sprawy wewnętrzne. Tu uderza nas postęp olbrzymi w rozwoju umysłowym. Niezliczona moc stronnictw politycznych przykuwa naszą uwagę. Społeczeństwo dojrzałe to obraz o niezliczonych barwach. Dzięki naszym politycznym fabrykantom farb, coraz to więcej pstrzy się ten obraz nowemi barwami.

Ale gdzie akcya, tam jest reakcya, jak słusznie powiedział zwrotniczy na stacyi Płaszów.

Ta reakcya o dążeniach wybitnie Tołstojowskich występuje, wprawdzie dotąd tylko sporadycznie, ale już od lat trzech. Jest to dążność do pogodzenia i pojednania wszystkich stronnictw.

Zadanie to podejmuje rok rocznie Reduta prasy.

I oto przypatrzmy się, jak barwne, niezależne, pełne życia dzienniki tracą na werwie, szarzeją. One, które podnoszą sztandar z hasłem „nie", gdy inne mówią „tak", obecnie gdy chodzi o Redutę prasy, wołają na szpaltach codzień zgodnie „tak". I cóż czytamy? Jedno i to samo. Redaktor dziennika wtorkowego idzie pod rękę z redaktorem dziennika środowego, redaktor dziennika czwartkowego nie może rozstać się pod Hawełką z redaktorem dziennika piątkowego — a nie dalej jak w zeszłym tygodniu redaktor dziennika niedzielnego pracował przez roztargnienie w dzienniku sobotnim, wskutek czego dziennik niedzielny nie wyszedł.

Oto rezultaty miłości i zgody.

Nie chcę jednak w tak uroczystej chwili potrącać o fałszywą strunę. Komitet Reduty prasy obszedł się ze mną niegodnie, bo gdy zgłosiłem się, że będę grał na fortepianie ze składu Gabryelskiej do tańca za umiarkowanem wynagrodzeniem, odrzucił moją ofertę z dodatkiem, że jestem za stary, a wziął orkiestę z kapelmistrzem Hockiem, pomimo, że ten jest co najmniej w moim wieku.

Ale nie tu miejsce do roztaczania osobistych żalów — więc z rzadką bezinteresownością skreślę główne momenta tej doniosłej uroczystości, jaką będzie tegoroczna Reduta prasy.

Oto komitet prosi najuprzejmiej, aby wszyscy kandydaci na ministrów, na prezesów i wiceprezesów Koła polskiego, raczyli zjawić się w maskach, a to w celu zapewnienia uroczystości wielkiej ilości masek. Komitet jednak uprasza, aby ci cenni uczestnicy nie chcieli się zawcześnie demaskować.

Następnie zważywszy, że wielkie zasługi stoją w odwrotnym stosunku do obfitości włosów na głowie, uprasza się, aby prezesi wszelkich stowarzyszeń raczyli przybyć na redutę *tête coiffée.*

Dalej komitet ustanowił cztery nagrody dla tych, którzy nie obchodzili w Krakowie swojego jubileuszu. Komitet mając niezachwianą pewność, że ani jeden kandydat do nagrody się nie zgłosi, nie obmyślił wcale przedmiotu nagrody. Gdyby jednak przypadkowo znalazł się kandydat, komitet zapewni mu bezpłatny pogrzeb.

Wkońcu komitet uchwalił wznieść w przedsionku sali, w celu nadania uroczystości cechy klasycznej, ozdobną trybunę, przeznaczoną wyłącznie dla krakowskich trybunów.

Widzimy zatem, że wszelkie ambicye, aspiracye i emulacye zostaną w zupełności zaspokojone. Miłość i zgoda nasycą atmosferę, a kiedy wodzirej zawoła głosem donośnym: panie i panowie — *rond!* będziemy mieli widok wspaniały i wzruszający — widok jednego pasterza i jednej owczarni.

Franciszek Bylicki.

Panna Hala.

Pastel karnawałowy,

Ma delikatną, pełną twarzyczkę, owianą włosów miękkimi sploty, co przeświecają i lśnią w przebłyskach jak złote runo, jak złoty puch — usta wiśniowe i modre oczy. I zwie się Hala, Halka, Haleczka. Prawda, jak ładnie? Niebieskooka i złotowłosa laleczka.

Leniwa troszkę, lecz jakże zdolna! Chętnie powieści czyta najnowsze i ślicznie tańczy i gra z uczuciem. Czasem z wieczora, wpół rozmarzona, przez pięć minutek albo i dłużej, lekko klawisze trąca białymi paluszki, nucąc przytem cichutko piosnkę Tosti'ego. Ach, rozmarzona, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

I lubi bardzo teatr, muzykę, czasem rozmowę też z pokojówką, i lubi b a r d z o swe fotografie, lubi malarzy, (co portretują) i lubi panów ładnie ubranych. Lecz jest okrutna, ach jak okrutna względem tych panów! Okrutna, luba, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

A najładniejsza w bladych kolorach. Więc ma sukienki bladoniebieskie i ma sukienki bladoróżowe i pantofelki szare maleńkie, maleńkie serce, maleńką duszę, maleńki taki luby rozumek i brzoskwiniowej urok świeżości — rozkoszna, słodka, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

Dziś w osiemnastej wiosny rozkwicie korną u nóżek swych widzi rzeszę, lecz choć na balach lubi flirtować, nie myśli jeszcze zbyć się swobody. Później, za rok, za dwa lata może odda swą rączkę, (bo mama nagli) jakiemu panu na stanowisku i będzie panią. No i utyje pewno troszeczkę. Lecz cóż to znaczy! Dziś jest urocza, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

Ludwik Szczepański

REDUTA PRASY*).

Żyjemy w dobie przewrotów. Wszystko się dziś przewraca: tancerze na balach i domy magistrackie! Nie brak teraz i młodzieńców, którym poprzewracało się... w głowach.

Zdarzają się jednak przewroty stokroć donioślejsze, a nieocenione należycie przez szerszy ogół. Takiego wprost epokowego przewrotu w prasie krakowskiej dokonał właśnie... *Żywy Dziennik!*

Powiem krótko: znalazłszy się w tej sali, odczuwam wrażenie... nieboszczyka, który ożył i wyszedł z trumny. Jest to bardzo jasne: każdy dziennik, który nie jest żywym, jest *eo ipso*... martwym. A przeistoczenie się z martwego dziennikarza na żywego, i to jeszcze karnawałowego, czyż nie jest wydarzeniem tak wstrząsającem i „przewrotowem“ jak powstanie z grobu, lub... pierwszy list miłosny pensyonarki?

Stwierdzam ten fakt na swe usprawiedliwienie, jeśli pomimo tak wesołego tematu, jak Reduta, i to Reduta tak wesołego towarzystwa, jak prasa, nie potrafię otrząsnąć się zupełnie z nastroju... grobowego.

Nie twierdzę naturalnie, abym tej metarmorfozy żałował. Zresztą, gdybym nawet przez obłudę podobną nikczemność popełnił, niktby mi nie uwierzył. Bo i jakże? Tam kulawy stolik, brudny kałamarz i połamane pióro, a potem płachty zadrukowanej bibuły, a tu... Czyż jednak potrzeba wykazywać, o ile wyższe nad martwe czernidło drukarskie są... promienne spojrzenia uroczych słuchaczek, przyświecające niby gwiazdy — nie z olbrzymiego nieba wprawdzie, lecz z pod olbrzymich koafiur — mozolnej pracy redakcyjnej na tej sali... Ale to właśnie jest powodem wielkiej odpowiedzialności. Łatwo jest pisać po 5, 10 i 15 ct. od wiersza, ale można dostać nietylko karnawałowych, lecz śmiertelnych dreszczów na myśl tak drogocennego honorarjum, jak... anielskie uśmiechy, no i — spodziewam się — oklaski — honorarjum drogocenniejszego, niż wszystkie skarby... lombardu na Szpitalnej.

Poczucie tej odpowiedzialności nakłada też wielkie obowiązki. Nie można zasklepiać się w rutynie. Wszystko musi iść z postępem, a więc i prasa, przedewszystkiem zaś — żywa, karnawałowa. Zasady ewolucyi są tu bardzo proste. Skoro zwykły dziennik pisze się atramentem i drukuje farbą, żywy — mówi, to karnawałowy — należałoby właściwie... odtańczyć. W takiem pojęciu zadań *Dziennika karnawałowego* niema zresztą nic dziwnego: Ajsedora Denken (w Polsce znana bardziej pod pseudonimem Izadory Duncan) potrafi tańczyć Szopena, to dlaczego nie możnaby odtańczyć artykułu dziennikarskiego, i to poświęconego tak s k o c z n y m tematom, jak Reduta i prasa? Sądzę, że właśnie w okresie karnawałowym ten nowy rodzaj dziennikarstwa znalazłby powszechne uznanie.

Niestety, przeciw tym modernistyczno-karnawałowym inowacyom w dziennikarstwie zaprotestowała prokuratorya, wychodząc z założenia, że do cenzurowania, a zwłaszcza... konfiskowania choreograficznej publicystyki nie posiada dostatecznie uzdolnionych funkcyonaryuszy. Z władzami niema żartów. A zatem *nolens volens* muszę pozostać przy dawnych, przestarzałych formach dziennikarstwa — za co też czuję się

*) Z *Żywego Dziennika karnawałowego*, wygłoszonego 10 lutego b. r. na kolonie wakacyjne seminarzystek.

w obowiązku przeprosić karnawałowe audytoryum. Wprawia mnie to jednak w nastrój niezmiernie pesymistyczny. To też powiem otwarcie — spełnię tu najłatwiejsze, a zarazem najmilsze zadanie dla każdego dziennikarza: będę szukał dziur na całem! Na swe usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że gdyby nie to.. sympatyczne zajęcie, to przynajmniej 99% dzienników nie miałoby o czem pisać, no i nie miałoby prenumeratorów.

. . . .

Reduta prasy! Już w samem zestawieniu tych wyrazów tkwi gryząca ironia i prowokacya! Bo czemże jest dziennikarstwo, jeśli nie maskaradą — ciągłą, codzienną, od 1-go stycznia do 31 grudnia, od nagłówka aż do podpisu naczelnego redaktora?

Głos Narodu czemże jest właściwie? Zachrypłym głosem wołającego na puszczy!

A *Nowa Reforma*? Propaguje wprawdzie najradykalniejsze reformy na obu półkulach globu ziemskiego (Portugalia na swoje szczęście posłuchała jej rad), ale za nic w świecie nie zgodziłaby się na zreformowanie przedhistorycznej ordynacyi wyborczej do Rady m. Krakowa! Trzeba jednak każdemu oddać sprawiedliwość. Praca *Nowej Reformy* nie jest bezowocną. Mogliśmy się o tem przekonać podczas pamiętnego szturmu jagiellońskich amazonek na kraty bram uniwersyteckich. Tam, w wirze walki, na samym szczycie wrót do przybytku wiedzy — ponad głowami tłumów — unosiły się porozdzierane w boju sztandary... reformowane! I to był największy tryumf ideowy *Nowej Reformy*.

Ale idźmy dalej. Czemże jest *Czas*? Tkwi wprawdzie w przeszłości, ale stronnictwo, które reprezentuje, wisi nie tyle w czasie, ile w przestrzeni, tj. w... powietrzu.

A czyż trzeba wspominać o najmłodszem niemowlęciu prasy krakowskiej? Ledwo łazi na czworakach, a już zwie się *Kurjerem* — dobrze, że nie sznelcugiem — który mógłby się od biedy nazywać ekspresem (naturalnie takim z pod Pałacu Spiskiego).

Jedynie dwa pisma krakowskie występują bez maski — z otwartą przyłbicą: *Nowiny*, które specyalnie zajmują się fabrykowaniem najświeższych nowinek z... zeszłotygodniowych wiadomości i *Naprzód*, który — naprzód wymyśla, a potem prostuje (na podstawie § 19-go).

Nie zmienia to jednak faktu, że maskaradę dziennikarską mamy w ciągu całego roku. Jakież więc znaczenie może mieć Reduta prasy? Tu tkwi właśnie najgroźniejsza intryga. Przedewszystkiem należy zapytać, o jakiej prasie tu mowa? Otóż stwierdzam, że o prasie wprost idealnej... Każda rzecz, jak wiadomo, ma swój ideał, którego jest tylko słabem odbiciem. Takim ideałem prasy jest... kobieta! Ona jest najdoskonalszą, najpiękniejszą i niedościgniona formą prasy i to prasy — naprawdę żywej.

Zaraz to udowodnię. Prasa ma być zwierciadłem życia, a lustro jest przecie niemal składową częścią istoty kobiecej. Ideałem prasy jest też lekkość, a wiadomo, że już Mickiewicz wołał: „Kobieto, puchu marny!“ Nie chcę tego zbyt generalizować, bo trudno nazwać puchem istotę, która np. waży 100 kilogramów!

Prasa musi również spełniać niejednokrotnie ciężki obowiązek wydobywania na światło dzienne ukrywanych przed okiem kontroli społecznej tajemnic. A czyż najzawziętszym wrogiem wszelkich wogóle tajemnic nie jest właśnie... kobieta?! Można powiedzieć, że każda tajemnica dopóty jest tajemnicą, dopóki nie spotka na swojej drodze... kobiety!

A dalej, czyż trzeba wspominać o wywiadowczych, informacyjnych, narratorskich, a zwłaszcza twórczych zdolnościach kobiet, które potrafią... tworzyć w najściślejszem znaczeniu tego słowa t. j. z... niczego!

Niestety muszę więc stwierdzić, że *Żywy Dziennik* nie jest bynajmniej wynalazkiem p. Lekszyckiego. Każda kobieta jest właściwie... *Żywym Dziennikiem* a każdy jej mąż... — odpowiedzialnym redaktorem, który, jak wiadomo, nie zna najczęściej treści podpisywanego dziennika — studjowanego zato gorliwie przez redakcyjnych.... przyjaciół!

Teraz dopiero możemy zdemaskować całą intrygę. Reduta prasy — to Reduta... Wasza, karnawałowe słuchaczki! Tu jesteście czytelniczkami *Żywego Dziennika* — tam wystąpicie w roli... naczelnych redaktorów nietylko żywej, ale... tańczącej i intrygującej prasy — my zaś będziemy waszymi wdzięcznymi uczniami.

Wobec tej rozkosznej perspektywy — nie mogę jednak powstrzymać się od zbawiennej przestrogi pod adresem krakowskich dziennikarzy.

Niech na tej Reducie żywych, a przedewszystkiem.. uroczych i... flirtujących dzienniczków zadowolnią się skromną rolą żarliwych. . czytelników, a co najwyżej, — redakcyjnych... przyjaciół. Ale jak ognia niech unikają stanowiska... odpowiedzialnych redaktorów.

Sylweryusz Chmurkowski.

Wywiad z Księciem Karnawału.

W koszu redakcyjnym w czasie sprzątania znaleziono zapiski jednego z reporterów, który dzień przedtem podał się do dymisyi, a następnie przepadł bez śladu. Jak się po zlepieniu potarganych kartek okazało, zapiski te odnosiły się do wywiadu z Księciem Karnawału, który na krótki pobyt zatrzymać się miał w Krakowie.

Aczkolwiek w rękopisie brakuje kilkanaście kartek, to jednak z pozostałych części udało się redakcyi utworzyć pewną całość.

Jak z treści wynika, wywiad ów odnosił się do Karnawału krakowskiego, a ponieważ przynosi kilkanaście ciekawych sensacyi w sprawie tegorocznego sezonu zabaw i odkrywa całą politykę Księcia Karnawału — przeto pozostałe części rękopisu pozwolę sobie przytoczyć. Początku brakuje — z potarganych strzępków dowiadujemy się tylko, że wraz z owym reporterem przybył do Księcia Karnawału profesor Bawidowski czy Bawidamski, niestrudzony wodzirej krakowskich zabaw z prośbą, by w końcu komitety balowe dały mu spokój, dalej reprezentanci firmy Witkay i syn i około 30 sztuk autentycznych pań Dulskich z petycyą, by w tegorocznym Karnawale wykluczyć bal na podrzutków jako rzecz niemoralną. Amor towarzyszący zwykle Księciu nie przybył. Przesłał korespondentkę, która załączoną była do odnalezionych papierów i brzmi jak następuje:

Przybyć nie mogę, gdyż przebywam obecnie u panny Maliczewskiej. Przytem nie chodzę do miast, w których radca Błonarowicz prowadzi procesy w mej sprawie. Zresztą Kraków przedstawia dla mnie mało interesu, bo tam nawet adwokaci z dobrą wiarą bronią niewinności — amorowych klientek.

Amor.

Dalszy wywiad odnosić się musiał do balów, które już odbyły się w Krakowie, a świadczy o tem notatka o balu Esperantystów. Bal Esperantystów, najszumniej reklamowany, nie cieszył się jednak powodzeniem. Brak było ożywienia, a to z tego powodu, że zaproszono na zabawę największych znawców Esperantyzmu, którzy ze sobą wzajemnie absolutnie porozumieć się nie mogli.

Dalsze kartki purzuconego w koszu wywiadu tworzą już jednolitą całość i aczkolwiek pisane przez reportera stylem nieco pospiesznym, dają zupełny obraz tegorocznych balów młodzieży akademickiej. Wobec ostatnich zajść na Uniwersytecie, wszystkie pikniki i bale uniwersyteckie wypadną słabo. Na jednym z wieców młodzież strajkująca uchwaliła strajkować od balów młodzieży niestrajkującej, a młodzież niestrajkująca strajkować od balów młodzieży strajkującej. Ogólno akademicki bal, łączący całą młodzież, wypadł oczywiście słabo. Natomiast jeden z odłamów słuchaczy stosownie do swych przekonań urządza

Zimmermann-bal,

a drugi nie chcąc odstępować od swych zasad aranżuje

Purim-bal.

Kilka słów należy się balowi słuchaczek Uniwersytetu, który nie jest już projektem Księcia Karnawału, ale wyraźnie prywatnym pomysłem Amora. Dotychczasowe posiedzenia komitetu, do którego należą i słuchacze, budzą powszechną sensacyę, gdyż na wniosek koleżanki Lolci Pempuszek odbywają się przy zupełnem wykluczeniu jawności. Na pierwszem posiedzeniu taż słuchaczka wygłosiła do zebranej młodzieży uświadamiającą mowę, poczem uświadomieni słuchacze wydali uświadamiającą odezwę, która przed balem rozdawaną będzie nieuświadomionym słuchaczkom. Wśród młodzieży akademickiej ogólną radość wywołał podobno projekt, by dla słuchaczek na balu ogłosić konkurs piękności. Projekt ten odrzucono, a dla ożywienia zabawy uchwalono wniozek, by na stylowym balu Empire maski dla wszystkich słuchaczek były obowiązujące. Do niespodzianek należeć będzie jedna z figur kotylionowych. Na środku sali ustawioną zostanie ogromna krata, na wzór uniwersyteckiej, po której w czasie kotyliona słuchaczki drapać się będą na wierzch. Figura ta nosić będzie nazwę „Drapaczki nieba“. Dwie słuchaczki, które pierwsze wejdą na wierzch, otrzymają oznaki kotylionowe z napisem: „Rozweseleni widzowie z pod Uniwersytetu — drapaczkom nieba“. Kto ma największe szanse otrzymania tych dwu oznak, to szanownym czytelnikom *Chwili aktualnej* zapewne wiadomo.

Ku wielkiemu żalowi redakcyi skrypt w tem miejscu się urywa — dalszej części brakuje.

Kartki, na których znajdował się najcenniejszy punkt wywiadu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały od zniszczenia. Z niewyraźnego pisma odcyfrować można, że Ksiażę Karnawału ma projekt wprowadzenia, jako nowość, Balu Rady miasta Krakowa. Atrakcyą jego będzie pochód Rady miasta o godzinie 12 w nocy. Pochód ten urządzony ma być na wzór rzymskich pochodów tryumfalnych lub galicyjskich fakelzugów w dniu imienin burmistrza. Na czele pójdzie 40 białoramiennych niewolnic, a zastęp ten tworzyć będą pisarki i manipulantki biur magistratu. Za niemi pojedzie na koniu naczelnik straży ogniowej p. Nowotny w stylizowanym kostyumie powstańców z 63 roku i chełmie á la Joanna D'Arc (pomysł Tow. Polska Sztuka Stosowana); pojedzie on przed pochodem obywateli miasta Krakowa przybranych odpowiednio. Właściciel licznych składów wędlin z ul. Floryańskiej, p. Sata ... Salcesonik (skrypt niewyraźny) przybrany będzie w kostyum greckiego Argobójcy. Za nimi wtoczy się na salę symboliczna postać miasta Krakowa: na podwawelskim blaszanyn smoku (pospolicie zwanym krakowskim fortepia-

nem) wjedzie popularnie tak zwany „pan prezes“ w kostyumie Piasta Kołodzieja. Towarzyszyć mu będzie Grand-hidalgo Ignac I., ordynat na ujeżdżalni i cyrku, świeżo mianowany także ordynatem na Uniwersytecie, w kostyumie prezydenta polsko-amerykańskiej republiki. Nim oczom zebranych widzów ukaże się sam tryumfator, poprzed rydwanem jego wejdą na salę władcy podbitych ludów: Car Paweł I, Fryderyk Wielki, Iwan Groźny i Car samozwaniec, ujarzmieni przy pomocy komisyi teatralnej. A teraz pojawi się on, pan i niepodzielny władca zasiadający na stolcu Wielkiego Krakowa i Podgórza, oraz Bonarki z przyległościami. Wjedzie na salę na zwierzynieckim koniku w tyarze Sajtafernesa i kontuszu, który bądź co bądź Grunwald pamięta. Wszyscy upadną na twarz, orkiestra na galeryi w szybkiem tempie odegra hymny perski i japoński, a na salę wtoczy się beczkowóz z zakładu czyszczenia miasta i polewać będzie głowy leżących na znak łaski. Na sali zapanuje podniosły nastrój i ogólne rozrzewnienie. Tłum zebrany na Rynku wzniesie gromkie okrzyki, a barany na pałacu Potockich beczeć będą z radości. Po północy zabawę urozmaicą niespodzianki w narodowym stylu. I tak na wzór Rękawki na środku ustawionym zostanie ogromny słup, po którym wpuszczeni w końcu do sali zwykli mieszkańcy Krakowa drapać się będą po położony na wierzchu kawałek mięsa argentyńskiego.

Obecnie przechodzę do najsensacyjniejszej części wywiadu. Zapiski odkrywają ogromną tajemnicę, która z pewnością zainteresuje tak czytelników jak czytelniczki *Chwili aktualnej*. Oto Książe Karnawału podyktował owemu reporterowi, który ten rękopis porzucił: „Chronologiczny spis nazwisk... tych pań i panów, którzy na zabawach karnawałowych, tknięci strzałą Amora, stanąć mają w przyszłości na ślubnym kobiercu“. Dokładny ten spis chronologiczny jest najcenniejszym punktem mego wywiadu — pisze sam ów reporter na marginesie w tem miejscu. Niestety... jednak... odnaleziony skrypt właśnie tu urywa się... końca brakuje...

Szczęsny Felkel.



MASKI „STYLOWE“

czyli

„PIĘKNA PANI IKS“

W stylu BOYA (autora wiekopomnej „Ernestynki“).

Ach, jak smutno być mężatką,
Gdy ją mąż rozumie rzadko,
I choć jest dla niego dobra,
Nie chce kupić mufki z bobra,
I gdy ona chce na bale
Chodzić, to on nie chce wcale —
I tylko się w piwie nurza,
Gdy w niej szczytnych uczuć burza.

Szczęście jeszcze, gdy się zdarza
Spotkać młodego malarza,
Który prosi pełen gustu,
By pozować mu do biustu,
I wypełnić życie szare,
Czyniąc dla sztuki ofiarę.

Tak pan Feliks najwymowniej
Prosił panią Iks w pracowni —
I błagał ją z miną seryo,
By była jego Egeryą —
Chociaż na co — niech kto powi —
Jest Egerya malarzowi?

Lecz się ona nie wzbraniała,
Bo bardzo sztukę kochała.
A on, mając wielką wprawę,
Zrobił obraz na wystawę,
Zowiąc go Psyche, z powodu,
Że była *decolletée* z przodu.

Wszystkim się to spodobało,
Choć gorszyli się nie mało.
Nawet na korespondentce
Reprodukcya była wprędce —
I napisał ktoś, że era
Nowej sztuki się otwiera
(et caetera, et caetera).

Lecz zrobiła się afera,
Bo krążyły wieści ciche,
Że to pani Iks tą Psyche:
Poznali niektórzy ludzie,
Bo miała pieprzyk na udzie.
Nawet w jamie Michalika
Szła o tem rozmowa dzika...

Ile jest przykrości z tego,
Jeźli mąż jest do niczego!

W stylu STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO:

„CZERWONOWŁOSA INKA“

(Fragmentaryczna figura z kadryla miłości i śmierci).

....Skirmunt przystanął — kurczowym chwytem palców wpił się w ramię Gawła — i wskazując mu niskie, szklane drzwi szynkowni, z których żółtawo-brudna smuga światła sączyła się w ciemną ulicę, szepnął urywanym głosem przez zaciśnięte zęby:

— Tu wejdziemy. Tu będziemy mogli przesiedzieć noc całą i pomówić o tych rzeczach strasznych, co się wyłaniają dokoła nas z morza ciemności. Tu, w tem piekle, gdzie tacy jak my nieszczęśnicy znajdują ostoję i przystań zaciszną, pomówimy o Niej, słyszysz: o Niej!

Gaweł zaśmiał się chrapliwie i otworzył drzwi szynkowni.

Weszli do zadymionej, niskiej sali i usiedli w kącie przy stoliku, zasłonięci filarem, oblepionym jaskrawymi afiszami. Skirmunt kazał podać flaszkę koniaku — i napełnił dwa kieliszki.

Wypili w milczeniu, patrząc ponuro przed siebie. Morze ciemności, wiekuiste *mare tenebrarum,* szumiało dokoła nich i biło o brzeg bazaltowy spienioną w grozie nocnej falą....

Skirmunt napełnił znowu kieliszki. Gaweł potrząsnął głową i nie podnosząc oczu, wskazał palcem na szklanki. Skirmunt boleśnie się uśmiechnął. Butelka drżała i dygotała mu w ręce, gdy w rozmodlonem osłupieniu złoty płyn wlewał do szklanek.

Wypili.

Patrząc w zadymioną mrocz sali, gdzie dym ofiarną unosił i kołysał się chmurą, Gaweł szepnął:

— Teraz mów mi o Niej, mów mi o Niej, tej świętej, Czerwonowłosej! Mów mi o Ince!

Inka! Inka!

Skirmunt pochwycił oburącz butelkę i pił, pił w bolesnem zapamiętaniu. W uszach piekielnym jękiem i poświstem huraganu huczało mu: Inka, Inka; w oczach rozlała mu się ognista mgławica stopionych gwiazd, jęła krążyć coraz szybciej i gwałtowniej, w szalonych obrotach kipiał ogień, wokół rozpryskiwała się wrząca, ognista masa i znowu z większym rozpędem wlewała się do potwornego kręgu ognia.

Z wszech stron sypały się w rozszalałe czeluście płomieni zamarłe gwiazdy i wyjałowione już z embryonalnych zarodków ziemie, wszystko co się w prailach wszechświata skruszyło i wyczerpało, rzucało się z grzmotem i jękiem wyzwolenia w spienionej rozkoszy w leje, wiry i zatory ognistej otchłani.

A krąg w zawrotnych rozpędach szalejącego ognia rósł i rósł, pękał, rozrywał się, ognista płynna masa przelewała się poprzez brzegi i wręby, znowu się kurczył i zwężał, ujął już teraz nierozerwalną obręczą burzę ognia, nowe słońce się wyłoniło, nowy początek i nowy pierścień odwiecznego powrotu....

A wreszcie ujrzał jakieś bezmierne, ciemne jezioro, na którem wyskakiwały dyamentowe iskierki, odrywały się od szkliwa ciemnej toni, wyrastały w cieniutkie szpileczki i boleśnie kłuły go w oczy. Rozwarł je szeroko: a w lśniącej, dyamentowej poświacie ujrzał Inkę ponurą i groźną w jakimś majestacie męczeńskiej powagi....

(Tak sobie wyobraża piękną kobietę p. Stanisław Przybyszewski).

W stylu GABRYELI ZAPOLSKIEJ:

„PRZEZ MOJE OKNO“.

Widuję ją codzień przez moje okno.

Codzień zrana idzie tak — może do magazynu, może do sklepu — tą banalną ulicą, ujętą z obu stron brutalnemi barykadami szarych kamienic, poza któremi przeczuwa się jamy śmietnisk i gnoju.

Idzie smukła, wątła, wyrosła marnie, jakby niepewna i rozwichrzona, piersi ma jeszcze płaskie i nikłe, ale w tem wszystkiem jest jakaś sznitowa linia, jakiś urok wiośniany tajemniczej Primavery Botticellego lub hieratycznej dystynkcyi Puvis de Chavannes, ale w nerwowo przerafinowanem ujęciu Cézanne'a lub Van Gogh'a. Idzie bez gorsetu, w skromnej, znoszonej i wytartej sukni z szarego szewiotu, którą umie z wdziękiem unosić, odsłaniając kształtne nogi, które stukają korkami lakierowych bucików po ohydnym lwowskim bruku, lepkim od kołtuńskiego błota.

Idzie tak zwolna, dzień w dzień; b o m u s i i ś ć.

Czy wy wiecie, co to znaczy: m u s i i ś ć?

Jej człowiecza kobiecość buntuje się w bezsilnym spazmie przeciw tym okropnym słowom, ale nędza przeznaczenia pcha ją nieubłaganie, fatalistycznie brutalną potęgą.

Więc idzie, idzie zwolna tą szarą ulicą — a za nią jak macki polipa wyciągają się spojrzenia rzeszy przechodniów. Zwracają się ku niej, jakby magnetycznym prądem przyciągnięte, te bryły cielsk, opiętych w paletoty i futra z karakułowym kołnierzem, ci wszyscy stróże kołtuńskiej moralności Dulscy, Daumy i Boguccy. Grube karki połyskują czerwonawym tonem, drapieżne oczy patrzą cynicznie na Primaverę, której buciki stukają po ohydnym bruku.

A ona idzie.

W stylu SIENKIEWICZA (historycznego):

„PAN ZAGŁOBA I KSIĘŻNICZKA Z TREBIZONDY“.

Zima onego roku była niezwykle sroga i obfitująca w zaspy śniegowe, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Drzewa w lasach trzaskały, na wskroś mrozem przejęte, a nocami stada zgłodniałych wilków podchodziły pod zagrody, wyjąc przeraźliwie.

Miało się już ku południowi, gdy w mroźny dzień styczniowy podjazd wolentarzy z panem Zagłobą na czele podsunął się pod wieś, aby zasięgnąć języka. Rycerze posuwali się w cichości, jako iż nieprzyjaciel mógł być blisko. Ale dojechawszy do wsi i zoczywszy karczmę przydrożną, pan Zagłoba obrócił się ku towarzyszom:

— Niepolitycznie byłoby zapuszczać się zbyt daleko, a strudzone ciało domaga się też wywczasu. Owóż pora byłaby rozkulbaczyć konie, pokrzepić się nieco a wypocząć.

I nie czekając responsu towarzyszy, pan Zagłoba wstrzymał rumaka przed karczmą i huknął wielkim głosem:

— Bywaj tu sam, żydzie psi synu!

A wraz towarzysze ławą ruszyli ku wrotom, przed któremi już gruby arendarz, jarmułkę zdjąwszy, gościom w pas się kłaniał. Ale że w izbie fetor panował, jako bywa czasu zimowego, gdy sroga aura wrót uchylać nie pozwala, przeto pan Zagłoba kazał przed karczmą wielkie ognisko rozpalić, zarznąć i upiec kilka baranów, a żydowi utoczyć kilkanaście stągwi siwuchy i miodu, co tenże, czas wojenny i respekt wzbudzającą osobę pana Zagłoby mając na względzie, skwa-

pliwie pospieszył się wykonać. A córka arendarza, czarnooka smagła Ryfka, stągwie one z piwnicy raz po raz wynosiła, usługując zwinnie i bez lęku groźnym rycerzom.

Więc poweselały serca w kompanionach pana Zagłoby. Pozierając na oną żydowską krasawicę pan Sipajło, Litwin z chorągwi pana Muraszki, wąsami jął ruchać na znak ukontentowania, a co młodszy z towarzyszów, na cnotę niewieścią łasy, nuże ku dziewczynie podchodzić, a nagabywać ją nieprzystojnie. Bo rycerskie rzemiosło wigoru w kościech i we krwi przysparza, a animusz gorący utrzymuje.

Wzdy pan Zagłoba, stary wojownik, który uwątlonego ducha pokrzepił już godnie pieczonym udźcem baranim, a teraz stągiew smakowitego, grzecznie korzeniami zaprawnego miodu w garści dzierżył, nie rad patrzał na te nieprzystojnie igraszki, lecz odsapnął i rzekł do pana Sipajły:

— Waszeć zgoła jako ten kocur, co to *mense martii* afektów napływ czując, miauczy i prycha, a przecie kalendarium styczeń dopiero pokazuje. I oblizujesz się waćpan jako kot głodny na widok spyrki zgoła nieprzystojnie.

A pan Sipajło, który aczkowiek Litwin z rodu, mowny rycerz był, języka w gębie nie zapomniał, lecz odparł podkręcając wąsa:

— Nie dziwno, mości Zagłobo, boć wielce foremna widzi mi się ta dziewka i oczy za nią z lubością chodzą.

Na to pan Zagłoba, pociągnąwszy spory haust miodu, replikował:

— Wzdy z niechrzczoną się zadawać i z podłej kondycyi dziewką, chrześciańskiemu rycerzowi grzech podwójny. Nie iżbym *abstinentiam absolutam* doradzał, boć są *occasiones et casus,* że krwie gorącej nie pofolgować zbyt trudno przychodzi. Wszelako *moderationem observare* zawzdy przystoi, a rycerz chrześciański — za przykładem onego Józefa, przez gamratkę Putyfarę kuszonego, sentymentów gwałtowność na wodzy utrzymać winien. Opowiem waszmościom, jako ja sam za lat młodszych, bystrzejszego temperamentu będąc, z niemałej opresyjej ku swej chwale a pożytkowi obronną wyszedłem ręką. A było to, pomnę, w Stambule. Wracałem nocą od jednej ormiańskiej kupcowej, która mnie w wielkiej miała estymie. Owóż, idąc wzdłuż wysokiego na pięć łokci muru, którym otoczon jest ogród sułtana, usłyszałem cudne granie a białogłowskie chichoty. A jako iż u onej kupcowej małmazyjej słodkiej pono nad miarę wypiłem i wielki animusz w sobie uczuwałem, przeto nie wiele myśląc, ciekawością niepomierną wiedzion — przelazłem przez on mur i ukryłem się w gęstwinie, aby zbliska spojrzeć na one sułtańskie delicye. Ano ujrzałem nad wyraz cudne widowisko. Bo w marmurowej sadzawce kąpała się cesarzowa turecka, mając ku pomocy służebne dziewki, które gędźbą uczoną a śpiewaniem bawiły swoją panią. I stała w onej sadzawce jak gdyby właśnie anioł, trefiona na głowie cudnie i cała foremna i gładka, że żaden *sculptor* składniejszej nie wymyśli figury. A jędrna i krzepka była w sobie i nie za cienka, jako bywają niektóre podwiki, co to im wszystkie ziobra policzysz, bo Turcy, choć poganie, zgoła nie głupi są w tej materyi, chude i kościste białogłowy za nic sobie mają, a estymują jeno takie, co cyrkumferencyą należytą i nadobną krągłością wzrok delektują. Także i ona, padyszachowa żona, ręce i nogi a piersi utoczone miała cudnie jako z marmuru różowego i alabastru i widziała mi się iście jako pogańska bogini Wenera, którą w Rzymie z poselstwem u Ojca świętego będąc w ogrodziech watykańskich wykowaną w kamieniu obserwowałem. Owóż patrząc na nią, od lubości w miejscu ustać nie mogłem i rzekłbyś, mrówki opadły cię wokół.

A pan Sipajło, ruchając wąsami, rzekł:

— I długo tak waszmość patrzał na to widowisko? Jabym dalibóg nie zdzierżył...

— Niepolitycznie waszmość gadasz i poznać zaraz, że rozum waszmości w piętkę goni. Toć wiadomo, że w ogrodzie sułtańskim srogie rzezańce z mieczami straż trzymają i gdybym nie opatrznie z krzaków był wylazł i onej białogłowie zaprezentował się: Zagłoba *sum*, gardłem byłbym to niechybnie przypłacił. Tu trzeba było fortelu zażyć, i jakom sobie w tej materyi poradził, jakom wykradł sułtanowi żonę i uciekał z nią przez wertepy, to waszmościom za innym razem opowiem (a za mną pan Sienkiewicz napisze), bo teraz mi w gardle kadūcznie zaschło.

Tu pan Zagłoba garniec miodu ująwszy, popił haust spory, poczem powstawszy, kazał zatrąbić cicho przez mundsztuk, aby towarzysze na koń siadali.

W stylu SIENKIEWICZA (współczesnego):

METAMORFOZA

(Rozdział z „Wirów").

Pan Henryk wodził bezmiernie rozkochanemi oczami za panną Daisy, która w balowej sukni stała przy oknie. Zdał sobie dziś dopiero sprawę, jak głęboko kocha tę uroczą i pełną wytwornej prostoty dziewczynę, która, aczkolwiek Angielka z pochodzenia, tak drogą mu była i tak ogromnie bliską, jak kwiaty polne i kłosy zboża na ojczystej ziemi. I serce wezbrało mu niezmierną tkliwością i wzrok jego obejmował zbożną pieszczotą tę wdzięczną, smukłą postać dziewczęcą, chłonąc każdy szczegół jej piękności.

Blade promienie lampy padały na jej ogromnie słodką twarz i na jej ramiona ponętnie obnażone. Włosy jej bujne, przeświecały jak bronz. Oczy jej jasne z powodu niezmiernie długich rzęs wydawały się ciemnemi, brwi natomiast były zupełnie czarne. Istotnie charakterystyczną cechą tej uroczej Angielki była właśnie zbytnia bujność włosów brwi, rzęs i puszku, który na bokach twarzy lśnił, jak delikatna, zupełnie jasna pela. I Henryk myślał, że wszystko to z czasem wyjść może na niekorzyść jej piękności, obecnie jednak jest tak młoda, że oznacza to tylko jakąś żywość i bujność organizmu i czyni z tej dziewczyny nie zimną lalkę, ale ciepłą i pełną ponęt kobietę.

Jakieś prądy elektryczne poczęły od niej iść ku niemu. W tej balowej sukni wydawała mu się tak cudną i ponętną, a zarazem tak skromną, miała w sobie coś tak niewinnego, że miał ochotę paść na kolana i spełniając akt służby bożej, ucałować brzegi muślinowej falbany, szepcąc szczęśliwemi usty: Moja, ogromnie moja.

Lecz gdy przysunął się do niej w zbożnem wzruszeniu, ona podniosła ku niemu swe ogromne, smutne oczy i odezwała się cicho i z prostotą:

— Oświadczyłam panu wczoraj, że dzisiaj wyjawię panu wielką tajemnicę. Panie Henryku, ja nie jestem miss Daisy, ja jestem Kaśka z Bronowic!

Ludwik Szczepański.

V. AKT „RUSAŁKI“ *).

Motto:

Byście mieli widowisko,
Czynim z siebie pośmiewisko,
Jakby żółto-dzióbe chłystki.
Lecz za to seminarzystki
Mieć będą własne ognisko!

Że człek, zawstydzony wszystek,
Za figowy wlazłby listek,
Ten wie, co sam tego zazna,
Robiąc dla seminarzystek
Z innych drwiny, z siebie — błazna!

Niemal równocześnie Kraków i Warszawa miały szczęście podziwiać na scenie wspaniałą kreacyę Stefana Krzywoszewskiego, *Rusałkę*. Oszołomiona śmiałością poetycznego pomysłu krytyka, nie umiała zdać sobie sprawy z całej doniosłości niezwykłego dzieła. I nie dziw. Poeta nasz oparł bowiem swój utwór na pomyśle tak wskróś oryginalnym i zawrotnie śmiałym, że krytyka stanęła wobec niego bezradna.

Bohaterka dramatu, Rusałka, nie jest istotą realną; nie jest też istotą fantastyczną: jest fantastycznie realną. Rodzi się nadprzyrodzenie: w głowie poety; zaraz jednak po tym niezwykłym połogu wstępuje w świat rzeczywisty, jako kobieta rzeczywista, piękna i naga, w nagości swej czysta, nie czująca wstydu, jak Prawda, wynurzająca się ze studni; i czujesz, że i ona skąd ze studni jest rodem: z głowy redaktorskiej, będącej, jak wiadomo, wszelkiej mądrości studnią niezgłębioną. I wkracza w świat i akcję dramatu, jako kobieta żywa, dorodna, gderliwie zalotna, cnotliwie wyuzdana i lubieżnie kaznodziejska, i wchodzi nie tylko w miłe kolizye z osobami spotykanemi na scenie i za kulisami — to bywało i dawniej — ale i z samym swym rodzicem twórcą nawiązuje stosunek wzruszająco zażyły.

Próżno szukalibyśmy dla niej precedensu w całej literaturze świata. W dziejach znaleźlibyśmy chyba tylko jeden: zrodzenie Ateny z głowy Dzeusa. I jeszcze król bogów ułatwił sobie zadanie, połykając wpierw ciężarną Metydę, boginię rozsądku i zdrowego sensu, czego poeta nasz zuchwale zaniechał. I skutkiem tego na dnie tej pozornie wesołej sztuki, niemal farsy, wije się nić dramatyczna o tak tragicznej grozie, jakiej nie widziały deski teatralne od czasów wielkich tragików Hellady.

By uwydatnić jeszcze nadprzyrodzenie realne pochodzenie Rusałki, poeta nasz omal nie napisał piątego aktu swej potężnej farso-tragedji, następującej osnowy:

SCENA I.

którą, w braku miejsca, opuszczamy, rozgrywa się w mózgu poety, a kończy się kichnieniem, któremu to kataklizmowi żądna i ciekawa nowych wzruszeń Rusałka zawdzięcza wydostanie się na świat zewnętrzny.

SCENA II.

Głąb sceny zakrywają ponuro skłębione i groźnie poszarpane chmury, na których tle, na samym przodzie, tuż za budką suflera, rysuje się sterczący ponad nią stożkowaty cypel. To sam czubek szczytu Parnasu. Na onym czubku stoi POETA. W ciągu sceny w chmurach otwiera się okienko, przez które wygląda DZEUS.

. . . .

POETA:

Wieszczów jestem spadkobierca,
Oni płomiennemi słowy
Wyzywali się na serca;
A ja z Dzeusem — na głowy!
Nie lada są to szermierki
Rodzić z wyłysiałej pałki
Bez Rosnera, akuszerki,
Dzeus — Atenę, ja — Rusałki!
W mroczną owinięty chmurę,
I Dzeus spłodził ze łba córę.
Lecz tak płodna moja głowa,
Źródło córek i natchnienia,
Że niech się sam Dzeus schowa!
. . . .
Wysłuchajcie mego pienia!
...Jak jajo, co rodzi kurę,
Jam głową wysiedział córę,
Rusałkę. Za sprawą biesa
Ona dziś moja metresa,
Od pępka mózgu odcięta!
Jak wprzódy z córką mą pałkę,

*Z *Żywego Dziennika karnawałowego*, wygłoszonego 10 lutego na kolonie wakacyjne seminarzystek.

Dziś z ojcem-kochankiem Rusałkę
Łączy miłości nić święta!
Idylla staje się dramą!
Rusałka — *entravée* damą,
Ja — jej kochankiem i — Mamą!

DZEUS:

Ależ to dramat prześliczny
Węzeł straszliwie tragiczny!

POETA:

Dla większej zmysłów podniety
Wciąż skomli w głosie poety
Jęk Fauna zazdrosnej piszczałki,
Ex-gacha pulchnej Rusałki.
Bogi, czyż który z was znał
Kazi-mózgo-rodczy szał??!!

DZEUS:

To szczyt tragicznej biedy:
Zgłupiały Eumenidy!

POETA:

Poczekaj, aż skończy się drama.
Otóż ta *entravée* dama,
Rusałka urocza i wściekła,
Z objęć mych nagle — uciekła!
Chcesz wiedzieć, co stało się potem?
Do łba mi wróciła z powrotem!

DZEUS:

Okropne, tragiczne rozdęcie:
Kochanka w głowie, mózg — w pięcie!

POETA:

Tragedya wzniosła, sam powiedz:
W mej głowie kochanka-córa,
Ma głowa — kolebka-grobowiec,
Jajo zarazem i kura!
Na domiar wyprawia w niej harce
Kochanka przy gacha fujarce!

DZEUS:

Zaiste, mistrza Stefana
Tragedya to niesłychana!
W swej grozie aż z cyrkiem się kuma:
Z Aischyla coś, coś — z Barnuma!
Pamiętaj, to moja nauka,
Pamiętaj, stara to śpiewka:
Łatwo w łeb wlezie ci dziewka,
Wyzbyć jej z głowy — w tem sztuka!
Gdy utkwi, każdy to przyzna:
Tragedya — kołowacizna!

I. Ż. S.

Imieniny Konika.

Imieniny pana Dezyderego Konika zanosiły się na wielką fetę.

Pan Eustachy Gibel objął o świcie komendę nad resztą współlokatorów państwa Koników. Suflera w towarzystwie Kazia-rzeźnika wysłał do ogrodu Saskiego po bez, objaśniwszy ich, że teraz właśnie, o świcie, najspokojniej można nakraść kwiatów.

— Cały dom państwa solenizantostwa musi pachnąć od bzu. Każdy z gości powinien też dostać bukiet, zwłaszcza damy. Musi być elegancya, a przytem za darmo.

Dom państwa Koników, jako pojęcie fizyczne składał się z dwóch pokoi na „facyatce“. Jeden z nich był zachowany dla gospodarstwa, w dnie świąteczne pełnił funkcye bawialni. W zagłębieniach między oknami stały ponadto dwa łóżka panien Józi i Klarci, mieszkających przy rodzinie Koników.

Pokój następny przedstawiał kompilacyę warsztatu stolarskiego pana Konika, kuchni pani Konikowej i trzech kątów, raczej trzech sienników dla lokatorów płci męskiej, wyżej wymienionych panów: Eustachego Gibla, jego przyjaciela Kazia-rzeźnika i suflera z „ogródka“.

Wyszczególnione siedm osób stanowiły dom państwa Koników w socyalnem słowa znaczeniu.

Pan Dezydery Konik, z zawodu stolarz, z usposobienia poczciwiec, był tylko nominalną głową tego domu. Istotnym gospodarzem był nie kto inny, jak tylko p. Gibel. Musielibyśmy naśladować plotkarki kamieniczne, gdybyśmy przyczyn ku temu szukali w pewnych skłonnościach sercowych pani Konikowej ku panu Eustachemu; wolimy przypuszczać, że władztwo swoje nad domem zawdzięczał Gibel przymiotom charakteru: energii, fantazyi i przedsiębiorczości.

Nikt wogóle nie umiał mu się oprzeć. To była natura stworzona do władzy.

Najlepszym przykładem było przywiązanie doń Kazia-rzeźnika.

Przywiązanie to datowało się z czasów charkowskiej świetności pana Gibla, tej świetności, o której wspominał kilkanaście razy na dzień. Należy bowiem wiedzieć, że przed kilku jeszcze laty miał on w Charkowie odziedziczoną po ojcu dużą rzeźnię, zatrudniał kilkunastu czeladników; jednym z nich był Kazio. Fantazya pana Eustachego zjadła rzeźnię. Po zlikwidowaniu resztek zakładu zostało mu dwa tysiące. Postanowił sumę tę podzielić w sposób następujący:

— Tysiąc rubli na wyjazd do Warszawy, gdzie się człowiek dorobi w miesiąc miliona, drugi tysiąc przepić z czeladnikami dziś jeszcze.

W restauracyi, gdzie czekał na współbiesiadników, spodobał mu się kelner staruszek, więc ofiarował mu jeden z dwóch tysięcy. Oczywiście nie ten, który przeznaczył na libacyę.

— Jak człowiek ma się dorobić, to się dorobi i bez tysiąca.

Na podróż pożyczył mu Kazio, który wyjechał do Warszawy wraz z „szefem".

Tutaj Kazio znalazł miejsce już w pierwszym tygodniu pobytu i tem, co zarabiał, żywił siebie i „szefa". Szef zaś postanowił, że określone zajęcie odkłada na później, bo tymczasem musi się „rozejrzeć w sytuacyi". Rozglądanie to, dokonywane w domu państwa Koników, trwało już cztery lata.

Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, iż p. Eustachy Gibel nie trudnił się sam niczem. Przeciwnie, był ciągle w pracy. Co najwyżej można tylko powiedzieć, że zarówno praca jego jak i zarobkowanie były zanadto różnorodne.

Tak naprzykład jedną z gałęzi jego dochodu był handel psami. Jeżeli wyczytał gdzieś w dziale ogłoszeń, iż poszukuje się pudla lub jamnika, wówczas wieczorem organizował ze współlokatorów obławę. Źle się działo w ten dzień jamnikom lub pudlom na ustronnych ulicach Warszawy! Choćby pogoń miała trwać kilka godzin, to koniec końców jakiś psiak wpadał w ręce tryumfującej trójki i na drugi dzień dostawał się do domu nieznajomego właściciela. Jeżeli anons wymagał psa żółtej np. maści, a obława chwyciła czarnego, to i wówczas przedsiębiorczość p. Eustachego nie opuszczała rąk: długo w noc odbywało się zbiorowe farbowanie psa, a następnie „osuszanie" techniką, wynalezioną przez tego ex-milionera i milionera *in spe*.

Były to jednak tylko letnie zajęcia Gibla. Zima, a raczej karnawał stawał się sezonem lukratywnym dla naszego bohatera. Ponieważ był mężczyzną dorodnym, ponieważ, jak sam to określał, zjadł zęby i fortunę na sztuce podobania się kobietom, ponieważ wreszcie miał donośny głos i umiał prowadzić nietylko mazura i kontredansa, ale i tańce fantastyczne, wynalezione przez siebie, więc na wesela, zaręczyny i po prostu na bale rzemieślniczych sfer wynajmował się „za gościa". Za wieczór brał trzy ruble i „na krawat". Jeżeli funkcyonował jako „hrabia z Moskwy", wówczas honoraryum dochodziło do rubli pięciu.

Zasadniczą cechą charakteru pana Eustachego była koleżeńskość. Lubił, by wokół niego dobrze się ludziom działo.

Nie zapominał też nigdy o swoich współtowarzyszach z domu państwa Koników. Dzięki jego protekcyi, na balach karnawałowych zarabiał sobie niejednokrotnie i przyjaciel-sufler, angażowano go bowiem jako „znanego artystę", by deklamował „Alpuharę" lub „Czarny szal". Co prawda, sufler nigdy aktorem nie był, jako że w dzieciństwie utracił rękę — i to niejednokrotnie budziło powątpiewanie, jak taki artysta może występować na scenie, ale Gibel rozwiewał wszelką nieufność tłomaczeniem:

— Może występować i bez ręki, bo on jest „charakterystyczny".

Trzeci z towarzyszy, wymieniony już kilkakrotnie Kazio-rzeźnik całą swoją treść wewnętrzną zamykał w uwielbieniu dla „szefa". Nigdy tak nie przestawał nazywać pana Eustachego. Cały swój zarobek uważał za osobistą własność „szefa", z której Gibel wypłacał pani Konikowej należność za siebie i za Kazia. Wypłacał, czy obiecywał wypłacać — to już sprawa jego prywatna.

Zajęcie Kazia rozpoczynało się o godzinie piątej rano, wstawał jednak o trzeciej, bo do rzeźni miał kawał drogi, a przed wyjściem czyścił regularnie ubranie i buty p. Eustachego.

— Taki wyjątkowy człowiek i pan z panów musi przecie czysto się trzymać.

Do całości charakterystyki Kazia dodać należy, że kochał się w pannie Klarci „z drugiego pokoju" i był namiętnym hodowcą gołębi. Na strychu nad facyatkami gnieździło się całe stado tych ślicznych ptaków; wyżywienie dla nich nabywał w wojskowych magazynach u jednego ze znajomych szyldwachów. Transakcya miała naturę wymienną: za garść ziarna szczyptę tytoniu. Tytoń zaś ginął panu Konikowi, namiętnemu palaczowi. Zresztą może to tylko wersya.

Oto rysopis duchowy naczelnych naszych bohaterów. Możemy nareszcie przejść do dziejów tego pamiętnego dnia imienin pana Dezyderego Konika.

II.

Można powiedzieć, wzorem wytwornych stylistów, że odświętność dnia „unosiła się w powietrzu" od chwili, gdy p. Eustachy Gibel wysłał trzech swoich podwładnych duchowych po pęki bzu — i odświętność ta, zdawało się, trwać będzie już bez przerwy aż do uroczystego wieczoru, z zapowiedzianą kolacyą, gośćmi, grami towarzyskiemi i toastami.

Już przy pierwszem wejściu swem do warsztatu solenizant dzisiejszy p. Dezydery Konik odczuł wyraźnie, że dzień to niezwykły. O ile bowiem codzienne wejście jego, a zwłaszcza początek pracy, inaugurowany piszczącem przerzynaniem drzewa piłą stolarską, witany bywał wprost złowrogo przez rozespanych lokatorów, co się łatwo tłomaczyło nocnym nieco trybem ich życia — i o ile codzień między p. Konikiem a p. Eustachym zachodził dyalog takiej mniej więcej treści:

— Już do ciężkiego tyfusu rozpoczyna się ta piszczałka stolarska.

— A rozpoczyna się: po chrześcijańsku, ze wschodem słońca, opoju zatracony — odpowiadał flegmatycznie Konik.

— Wyspać się człowiekowi nie daje taki gładzideska.

— Śpij w nocy, nie w dzień...

— Chamy sypiają w nocy, a nie inteligencya...

— Skonaj inteligencie, to cię moja robota nie będzie budzić.

— Skonaj, powiadasz pracowniku hebla, krzywonóżko? Skonaj? A cobyś powiedział drogi Koniku bystrostopy, gdybym wstał w tej chwili i wyłamał ci jedno żeberko, albo wybił kilka ząbków perłowych? He?!

O ile powtarzany dyszkurs tego typu, zresztą dość senny i bez uniesień, prowadzony był co rano między gospodarzem nominalnym i gospodarzem faktycznym tego miłego zacisza, o tyle dziś p. Konik w pokoju męskim zastał samego tylko Gibla, już przyczesanego starannie, we fraku na nocną koszulę narzuconym i w białym z pochodzenia krawacie pod szyją. Resztę figury przykrywał koc. Okrzykiem, wydobytym z pełnej piersi, powitał wchodzącego Konika:

— Solenizantowi sto lat i sto tysięcy tego, co ważniejsze od lat!!

Gdy onieśmielony tym wybuchem życzeń pan Konik kłaniał się niewyraźnie zdaleka, Gibel otworzył ramiona i zawołał:

— No chodźże w uścisk przyjacielu, bestyo serdeczna, Judaszu mój drogi!

Konik był rozrzewniony tą kordyalnością i postanowił wszelką pracę odłożyć na dzień następny, tymczasem zaś zaprosił p. Eustachego na jeden kieliszek żubrówki na dół do Rosenkranza. Pojęcie „jednego“ nabrać musiało większej rozciągłości siłą wypadków, nie zadługo bowiem wrócili z bzem Kazio i sufler i wtargnęli do restauracyi, wyprawieni zresztą przez samą panią Konikową. W oczekiwaniu liczniejszych gości, gospodyni chciała przygotować już rano wystawniejszą wieczerzę.

Posiedzenie u Rosenkranza zaciągnęło się na dość długo. Jedyny tylko Kazio wymknął się cichaczem, wiedział bowiem, że panna Klarcia, z powodu imienin, nie poszła do magazynu, że przystraja teraz pokój bzami, pobiegł więc na górę, by jej pomódz.

Panna Klarcia była osobą dość miłą, wedle opinii powszechnej — cudowną w oczach Kazia. Zakochany był w niej tak, że nie dostrzegał nawet tego drobnego zresztą defektu, jakim była głuchota, wzmagająca się w okresach kataru. Defekt ten nie zawsze pozwalał Kaziowi na wynurzenia miłosne szeptem, wskutek tego i dziś do gotującej pani Konikowej dobiegał z drugiego pokoju źle przytłumiony dyalog:

— Panno Klarciu!

Milczenie.

— Panno Klarciu!

— Czego?

— Kocham pannę Klarcię!

Milczenie.

— Panno Klarciu!

— Nie słyszę. Zajdź pan z tej strony. Mów pan w lewe ucho.

— Panno Klarciu, kocham panią! Słyszy pani?

— Słyszę.

— No więc co, panno Klarciu?

— No nic.

— Nic? To źle panno Klarciu. A ja sobie tak myślałem, jakby to pięknie było dziś, przy imieninach, żebym się oświadczył pannie Klarci. Imieniny i tyle bzu — i panna Klarcia, jak ten bez... Słyszy panna Klarcia?

— Mów pan Kazimierz głośniej, bo wczoraj była słota.

Na dole zaś u Rosenkranza koło południa było już nader wesoło. Gibel co chwila wybiegał po nowego kompana i ugaszczał go. Między właścicielem szynku a naszym bohaterem zaszło widocznie jakieś porozumienie co do terminu i sposobu płatności, bo ani razu nie padło złowrogie ze strony Rosenkranza zapytanie: „no a pieniądze gdzie?“ Libacya przeciągnęła się poza porę obiadową. Gibel czwarty czy piąty raz opowiadał już o tem, jaką miał rzeźnię w Charkowie, a w bogatej naracyi jego liczba uboju dziennego dochodziła bez mała do miliona wołów. Nie mniej świetne bogactwo obiecywał towarzyszom i w przyszłości. Śmiało roztaczał plany: gdy tylko dojdzie do krociowego majątku, nikt z obecnych nie będzie już pracował czy to w warsztacie, czy w fabryce, wszyscy będą „przyjaciółmi“ Gibla i jako tacy całe pozostałe życie spędzą tutaj w miłej atmosferze piwiarni.

— Ty Rozenkranz będziesz dostawał po rublu za jedną żubrówkę. Niech cię! Nie będę się targował...

— Niech już będzie pół rubla — spuszczał z ceny przyszłości krytyczny Rosenkranz: — ale tymczasem jeszcze mi się należy trzy i pół kotleta za ostatnią kolejkę.

Tutaj wyszło na jaw, że libacya Giblowa opłacana była w naturze. Kieszenie marynarki, spodni i kamizelki obładowane miał stosem kotletów. Skąd je wziął, było to tajemnicą, w którą się nikt z obecnych zbytnio nie wdzierał. Każdy kieliszek żubrówki płacony był połową kotleta.

Ściemniło się już porządnie, gdy przysłany przez panią Konikową Kazio zaanonsował u Rosenkranza, iż goście się schodzą — czas do domu.

Ruszono tłumnie i gwarnie.

Na schodach Gibel zatrzymał solenizanta i szepnął mu:

— Słuchaj rumaczku, a przed panią rumaczkową to lepiej może nie gadać, żeśmy pili, żeśmy jedli kotlety — co?

— A dlaczego?

— Damy nie lubią, gdy sobie psujemy apetyty przed kolacyą... Wódka, no to jeszcze, ale o zakąskach lepiej sza...

— Jak sza, to sza... — zgodził się zacny solenizant — i weszli w progi odświętnego domostwa.

Tutaj zabawa szła już raźno. Bawiono się widocznie w „idzie lis koło drogi“, bo oto gospodyni przykładała zimny okład pannie Józi, której sąsiad nabił siniaka okręconym w pytę ręcznikiem.

— Mógłbyś pan Alfred delikatniej, strofowała go pani Konikowa — jeszcze mi tu którą z panien przetrącisz.

— To trudno proszę pani, zabawa musi iść fest. Nieprawdaż panno Jadziu?

A panna Jadzia na pół bolesnym uśmiechem zgadzała się na pogląd pana Adolfa.

Ponieważ ambulatoryum imieninowe urządzone było w tym samym pokoju, gdzie mieszkali sublokatorowie państwa Koników, a Gibel właśnie teraz chciał przyodziać się odświętnie, przeto poprosił uprzejmie, by damy zechciały przez chwilę nie obracać się.

Garderoba trwała istotnie tylko kilka minut, poczem zdumienie i zachwyt ogarnęły obecnych na widok tego pięknego mężczyzny w prześlicznych spodniach w drobną kratkę, we fraku, w kamizelce aksamitnej czarnej, zapiętej pod samą szyję i w czerwonym krawacie na wysokim kołnierzyku. Nie było wątpliwości, że Gibel będzie królem wieczoru. Płeć piękna cisnęła się doń. Gibel flirtował. Mężczyźni osowieli. Nie zadługo jednak umiał pozyskać i ich sympatyę.

Działo się bowiem, że młodzież mniej obyta w życiu salonowem, siedziała na zabawie imieninowej w kapeluszach na głowie. Gibel zauważył, iż taki zwyczaj nie odpowiada stanowczo wykwintnej atmosferze towarzystwa — i nie wchodząc w uzasadnienia teoretyczne, każdego gościa, godzącego się na zdjęcie kapelusza, zapraszał na dół do Rosenkranza na jedną „z pieprzem“, jedną „bez pieprzu“ i jedną „tak sobie“. — Wypłata odbywała się, jak i przedtem w naturze, ściślej mówiąc w kotlecie.

Ta hojność bywalca wielkoświatowego ujęła młode serca i po godzinie zabawy Gibel królował *viritim*, tak, że gdy rzucił naraz fantastyczny pomysł: „po muzykę i hulać!“ — entuzyazm był mu echem.

Dzielny organizator Gibel w rzutkim zarysie zakreślił sposoby sfinansowania swego planu:

— Panie nie płacą nic, jako damy. Każdy szewalier płaci grosz od dwóch tours walca lub polki, dziesięć groszy od figury kontredansa... Szósta figura dwadzieścia groszy.

Taksę taneczną uznano za możliwą do przyjęcia i po kwadransie była już harmonijka ze skrzypcami; popłynęły „czarowne tony walca“. Panienki były w istnym zachwycie. Młodzież męskiego rodzaju wpadała w nastrój coraz zapalniejszy, tem bardziej, że od czasu do czasu to Gibel taneczników, to tanecznicy Gibla wyciągali na odpoczynek do Rosenkranza.

Jeden Kazio był markotny, bo w hałasie muzyki, hołupców oraz pewnych karkołomniejszych figur, jak np. stawanie na głowie w rytm polki-mazurki, czem popisywał się pan Adolf, a które to figury budziły burzę oklasków — słowem w tumulcie i pisku nie mógł ani rusz pomówić z panną Klarcią. (Jak wiadomo, wczoraj była słota).

Stawało się już bardzo gorąco, gdy Gibel dał muzyce hasło do kontredansa. Włożył czarne rękawiczki. Niektórzy tancerze poprosili uprzejmie gospodynię o pozwolenie zrzucenia marynarek, gwoli lepszego rozmachu w tym tańcu, ktory wedle ich poglądu, wymagał zdwojonej energii.

W czasie przygrywki doszło do pewnego nieporozumienia między Giblem a panem Adolfem. Okazało się, że ten ostatni spekuluje na poczęstunek u Rosenkranza. Do tańca bowiem stanął w cylindrze na głowie.

— Panie Adolf — odezwał się wodzirej: — tu nie chlew.

— Przypuśćmy. Więc co?

— Więc kapelusz z głowy!

— Ani mi się śni, panie ładny,

— A pieprzówkę wygrzmociłeś na dole. Smakowała?

— Jaką pieprzówkę?

— Tę, którą panu zapłaciłem u Rosenkranzu.

— Żadnej pieprzówki nie piłem od pana...

— Tylko pan nie łżyj, panie Adolf, ja pana serdecznie proszę, bo będzie źle...

— Daję całemu towarzystwu — zwrócił się do zebranych pan Adolf: — daję szlacheckie słowo honoru, że mi żadnej pieprzówki nie stawiał.

Znalazło się atoli kilku świadków, którzy zeznali, że pan Adolf pił pieprzówkę, nawet dwukrotnie.

— A! jeżelim pił, a zwłaszcza jeżeli towarzysze widzieli, w takim razie cofam słowo honoru — zadeklarował pan Adolf.

Sprawa więc załatwiła się pokojowo i Gibel zakomenderował z całą godnością:

— Mesdames i chevaliers: promenade!!

Potężny i fachowy głos jego wpadł w taki chaos rozwielmożnionych przez ten czas krzyków, że nikt nie słyszał komendy i wszyscy stali na miejscu. Nie było to zapewne żadną dla nich krzywdą, bo w oczekiwaniu na „promenade“, pary przeszły w dość wyraźny flirt.

Pan Eustachy powtórzył swoją komendę jeszcze raz. Nic nie pomogło. Oburzyło go to:

— Mesdames i chevaliers — ja bardzo proszę stulić już raz buzię...

Nadaremno.

Co chwila któryś z nietrzeźwych danserów zagłuszał go głośnym krzykiem, co chwila któraś z danserek niespodziewanie pisnęła.

Gibel spróbował realnego argumentu:

— Chevaliers: ja podniosę taksę od figury!

I to nie poskutkowało. Pary jakby zapomniały o tańcu.

Zirytowany wodzirej przeprosił swoją damę i począł biegać od pary do pary. Niektórych ubłagał, niektórym pogroził wprost pięścią przed nosem, niektórym podobno nie tylko nawet pogroził, dość, że nastała cisza.

Wówczas Gibel zapanował nad sytuacyą; wystąpił na czoło obu szeregów i przemówił:

— Wobec nieznajomości reguł, jakie szanowne towarzystwo okazuje, muszę uprzedzić, że jeżeli którakolwiek z *mesdames*, lub którykolwiek z *chevaliers* jeszcze jedno słowo piśnie, to tak im skuję twarze, że popamiętają imieniny pana Konika: promenade!!

I pary ruszyły.

— Z pospólstwem inaczej nie można — objaśniał Gibel panią Konikową, z którą tańczył.

Pani Konikowa odpowiedziała mu tym uśmiechem, który oznacza bezsłowne porozumienie dwojga dusz wytworniejszych nad otoczenie.

Z męskiej połowy towarzystwa nie tańczył tylko sufler. Działo się to z powodu chwilowego wyczerpania gotówki u tego dziecięcia muzy. Proponował, by towarzystwo zwolniło go z taksy, w zamian za wygłoszenie kilku podnioślejszych utworów z wszechświatowej literatury, ale rozbawiona młodzież odrzuciła artystyczną ofertę. Sufler przyszedł więc do przekonania, że taniec jest zabawą nie dość intelektualną i usiadł w kącie, czyniąc na własny użytek sarkastyczne obserwacye.

Figura tymczasem mknęła za figurą. Gibel dokazywał cudów pomysłowości. Już w czwartej figurze uczynił *rond*, poczem wyciągnął tanecznikow w długi sznur i poprowadził ich przez warsztat i schody, na dół do sieni i stąd bocznemi drzwiami do Rosenkranza, gdzie wśród ogłuszającej wesołości każdy musiał wychylić jedną żubrówkę.

Rozentuzyazmowany solenizant przyjął ten dodatek kontredansowy na swój rachunek. Pani Konikowa z góry patrzyła na gości, a we wzroku jej była radość, że to ona a nie kto inny ma takiego u siebie zucha lokatora...

W powrotnej drodze, tancerze wnieśli na rękach wodzireja do sali tanecznej.

Rozpoczęła się figura piąta, tragiczna dla Kazia... Między jednem *tour des mains* a drugiem zdołał bowiem zapytać kategorycznie pannę Klarcię, czy zechciałaby być jego żoną.

I doznał biedny Kazio, ile płochości mieści serce dziewczyny. Klarcia uśmiechnęła się pogardliwie i odpowiedziała mu przez ramię:

— Jak pan Kaźmirz nauczysz się tak prowadzić kadryla, jak Gibel, to... może...

Kazio uczuł, że w tej chwili zaczyna nienawidzieć „szefa". Tego ukochanego i ubóstwianego szefa.

Chciałby teraz zapaść się pod ziemię, chciałby zedrzeć z Gibla frak i czerwony krawat...

Chciałby wogóle z kimś awantury. A jeśli już nie awantury, to zabijać wołów, dużo, dużo wołów... Obudziły się w nim pracowite mięśnie.

— Bić! bić! Wszystko jedno, co lub kogo bić, byle tylko strasznie bić — rozpiera w nim rozpacz.

Nawet nie przypuszczał, jak szybko ziścić się miało jego głuche marzenie.

Rzecz się miała bowiem tak:

Gibel po zajściu z panem Adolfem powziął przekonanie, że nie tylko pan Adolf, ale i inna młodzież nie dotrzymuje „zobowiązania pieprzowego" i mimo poczęstunku, zakłada kapelusze na głowę. Postanowił przeto tępić nielojalność. Ilekroć zauważył, że który z danserów nakłada cylinder na głowę, przerywał taniec, podbiegał do winowajcy, zrywał mu kapelusz i bez ceremonii wyrzucał inkryminowany przedmiot do warsztatu:

— Same oszusty! — dodawał z irytacyą.

Była już wielka galopada szóstej figury, która na ogólne żądanie miała również przejść przez epizod Rosenkranza — i tryumfujący Gibel właśnie przeciągał pary do warsztatu, gdy na progu sali zjawili się dwaj rośli mężczyźni. Kapelusze mieli zuchowato nałożone na bakier. Byli to dwaj zapóźnieni goście. Gibel, dość już nietrzeźwy od wódki i powodzenia, przypuścił jednak, że to są zwyczajni spekulanci *à la* Adolf. Trudno wszystkich dobrze znać w towarzystwie tak licznem.

Że mu się ponadto wydało, iż obaj uśmiechnęli się doń drwiąco, więc, nie wchodząc w namysły, szparkim ruchem, w rytm szalejącej galopki, ściągnął jednemu kapelusz z głowy, ściągnął drugiemu — i w tym samym rytmie kurs-galopu pomknął ku schodom, zwycięsko w ręku dzierżąc zdobyte trofea dobrego tonu.

Za nim posunęła reszta taneczników ze śmiechem i hałasem.

Krótki był atoli ten śmiech...

Dwaj przybysze, zaskoczeni niebywałym despektem, stanęli w oniemieniu na progu pustej sali, w której tylko sufler zanosił się od śmiechu, pod wtór nie milknącej galopki.

Ponieważ obaj byli prawdopodobnie ludźmi czynu raczej, niż refleksyi, więc pierwszą ich myślą było, że nieznajomy im Gibel jest zwyczajnym złodziejem, a cały pochód taneczny zrozumiałą ucieczką ze skradzionymi przedmiotami.

— Łapać! — ryknął jeden z nich i — wpadając w takt tej samej galopady, runął za sznurem kontredansa i jego wodzirejem.

Drugi podążył za nim.

Bez wielkich ceremonij przyskoczyli do Gibla, usiłując odebrać swoją własność.

Rezolutny pan Eustachy, widząc ich zakłopotanie, postanowił przedłużyć karę i skierował pochód na drugie podwórze.

— Eche Antek! — skombinował w lot jeden z poszkodowanych: — to przechodzi dom! Chybaj szybko, zagrodź drogę....

Antek ruszył *en carrière* i istotnie zastąpił Giblowi wolne przejście... Roześmiany aranżer usiłował wymknąć się i coraz wyżej podnosił kapelusze. Przybysze wpadali w coraz większe rozdrażnienie, aż nareszcie jeden z nich ugodził ex-milionera prosto w ciemię, krzycząc:

— Oddawaj kapelusze, grandziarzu!

Wytworny Gibel nie spodziewał się takiego żartu. Osłupiał, już-już chciał się odwdzięczyć równą, że tak powiemy bronią, ale naraz przypomniał sobie, że Kazio zrobi to samo ze znacznie większą wprawą; więc opanował się i z niewzruszoną dystynkcyą zwrócił się do przyjaciela ze wskazówką:

— Kaziu: tego blondyna — a fest!

I stała się rzecz nieopisana.

Kazio podbiegł jednym susem, podniósł pięść i gruchnął całą siłą, ale w... Gibla...

— Masz panna Klarcia swego eleganta! — wymamrotał i spojrzał na swą danserkę złowrogo...

Zgroza przejęła obecnych... Towarzystwo już od chwili było podniecone, ale dotąd uważało, że całe zajście jest zwyczajną honorową aferą między Giblem a przybyszami... Teraz sytuacya się zmieniła. Postępek Kazia wzburzył wszystkich. Młodzież ławą uderzyła na Kazia... Ten bronił się nieźle, bo, co chwila któryś z danserów odskakiwał mniej lub więcej ogłuszony... Dwaj przybysze pomagali Kaziowi... Atoli obecność dam dodawała danserom męztwa... Nacierano rzetelnie... Po upływie dwóch, trzech minut walka straciła celowość, rozpoczął się rodzaj bójki, którąby można nazwać sztuką dla sztuki, albo *bellum omnium contra omnes,* bito albowiem bez wyboru, czy to wróg, czy przyjaciel... Damy zaś wprowadziły za teren walki krzyk, pisk i omdlenia... Zrobił się mały przedsmak piekła z flamandzkich malowideł.

Ostateczne zamieszanie wprowadził sufler. Wywabiony krzykiem, podążył na drewnianą galeryjkę, która wokół pierwszego piętra biegła wzdłuż podwórza i z tej wysokości objął niejako komendę nad batalią.

Raz po raz odzywał się w ten mniej więcej sposób:

— Ten tam koło studni jeszcze nic nie dostał... Dajże mu Ksawery! — Tak. — Dobrze!... Nie daj się... Szewca by się przydało gruchnąć! Tak... Nogą w brzuch... Jeszcze raz... Józek czego stoisz? Bij... O to, to! Tak... Panie Adolf: — tamtego ze dwa razy!... i t. d.

Ogłuszona kompania spełniała jego rozkazy z dziwną subordynacyą. Sufler nie stracił przytem nic ze swej flegmy, nawet papierosa nie wyjął z ust. Wpadł nawet na pomysł sprowadzenia na galeryjkę muzykantów, którym kazał grać w dalszym ciągu galopadę...

Muzyka nadała bójce rytmu regularnego i szybszego zarazem; uderzenia padały w takt galopki.

Gdzie niegdzie już się lało trochę krwi. Kilka dam cucono pod pompą.

Zajście dobiegło do końca dopiero wówczas, gdy na podwórzu zjawił się stójkowy policyant.

Przerwano w tej chwili tę osobliwą figurę kontredansa. Policyant zawyrokował krótko:

— Panowie, będzie źle...

Wtedy się okazało, jak wyjątkowo oryentacyjnym człowiekiem był Gibel. Nie pomny na ból, siniaki, na stratę fraka, z którego wisiały tylko malownicze strzępy, przystąpił do przedstawiciela władzy — i szeptem zaczął mu coś przekładać...

Po chwili obaj byli już u Rosenkranza. Solenizant zaprosił tymczasem wzburzone jeszcze co nieco towarzystwo do ambulatoryum imieninowego.

Popyt na opatrunki był bardzo liczny. Nawet kilka dam odniosło lekkie obrażenia ciała... Niebawem powrócił i Gibel i w czasie tych domorosłych zabiegów medycznych przyszło do ostatecznego załagodzenia sprawy. Wyjaśniło się, że przybysze nie wiedzieli zgoła nic o tem, że Gibel nie jest złodziejem; wodzirej wszedł w sytuacyę swoich przeciwników — podano sobie ręce. Postanowiono całą sprawę uważać za niebyłą.

Takby się było załatwiło to drobne nieporozumienie, gdyby jakieś złe losy nie były zawisły nad imieninami pana Konika.

Muzyka bowiem już zaczęła grać skoczną polkę, gdy naraz w ambulatoryum zauważono, że kilkanaście ran pochodzi od noża...

— Kto pracował nożem? — takie pytanie powstało jednomyślnie w towarzystwie.

Nikt się do noża nie chciał przyznać, więc na wniosek gospodarza przystąpiono do osobistej rewizyi gości...

Skrwawiony nóż znaleziono w kieszeni pana Adolfa...

Eustachy Gibel, który już od początku zabawy żywił pewną zawziętość do pana Adolfa, głównie za jego powodzenie przy stawaniu na głowie w polce mazurce, postanowił wykorzystać ten stan rzeczy i natarł ostro; za nim oburzyło się całe bez wyjątku imieninowe grono:

— Prać!! — padła żywiołowa intencya...

— Drab!

— Bijatyka, to i owszem — teoretyzował ktoś w kącie wobec dam: — bijatyka, no niech sobie będzie: zabawa to zabawa, ale żeby majchrem w dobranem towarzystwie...

Już posunęła się młodzież ku panu Adolfowi, już pan Adolf stanął w futrynie drzwi z nożem, gotowy na wszystko, gdy gospodarz Konik zaprotestował przeciwko bójce:

— Hola! na podwórzu ile chcecie, ale u mnie w domu ani ani!

To mówiąc chwycił z warsztatu za ośnik, na znak, że nie cofnie się przed egzekutywą swego postanowienia.

Goście uszanowali wolę gospodarza i stanęło na kompromisie, że pan Adolf będzie usunięty z towarzystwa.

By osądzony nie miał dwuznacznego wrażenia co do tego wyroku, dwaj młodzieńcy chwycili go za kołnierz i z pewną gracyą wyrzucili na schody.

Atoli po chwili osądzony znowu się zjawił we drzwiach i podniósłszy w górę rękę z gestem, który znamionuje uciszanie tłumów, oświadczył:

— Nie bój się hołoto, wyjdę sam, wróciłem tylko, żebyście nie myśleli, żeście mnie wyrzucili...

A następnie spojrzał na Gibla, wyjął z kieszeni srebrnego półrubla i świsnąwszy krótko, rzucił go pod nogi antagoniście:

— Te, magik!... weź sobie trzy złote, groszy dziesięć za twoją pieprzówkę i twoje kotlety...

Wyraz „kotlety" zwrócił uwagę pani Konikowej. Wstała szparko z krzesła, jakby ją coś tknęło:

— Jakie kotlety?

— A z grzybkami... niedosmażone — odrzekł pan Adolf i godnie zniknął za drzwiami.

Pani Konikowa spojrzała na sublokatora:

— Panie Gibel, co on gadał?

Gibel nie odpowiadał nic, tylko wzruszał ramionami...

Nieświadoma utajonego dramatu młodzież, z całą otwartością opowiedziała pani Konikowej o wymiennym handlu kotletami na dole u Rosenkranza.

Gospodyni chwyciła ręką za serce. Podbiegła do Gibla — i bez słowa spojrzała mu w oczy...

Wodzirej rozłożył szeroko ręce, jakby tym ruchem chciał wyrazić myślicielską uwagę, że co się stało, to się nie odstanie... .

Z oczu pani Konikowej padło wejrzenie tak przeszywające, że jeżeli Gibel nie padł trupem na miejscu, to tylko wytłómaczyć to można jego niezwykłą żądzą życia.

A pani Konikowa pobiegła do kredensu, otworzyła, spojrzała i załamała ręce:

— Moje ludzie! — Moje ludzie i zebrane tu towarzystwo: nasmażyłam kotletów, sześćdziesiąt dwa... jak mi rodzona matka miła: całe sześćdziesiąt dwa... żeby na każdego choćby po dwa — i ten, ten, ten — wszystko przepił, przełajdaczył... Sami powiedźcie, czy to jest sublokator, czy złodziej?

Zasłoniła rękami oczy i potoczyła się bezsilna na krzesło.

W towarzystwie zapanowała dziwna cisza. Wszyscy z szacunkiem asystowali słusznemu bólowi gospodyni.

Jeden Gibel usiłował na ucho czynić jej jakieś perswazye... Ale dzielna kobieta strzeliła weń okiem pogardy, poczem zerwała się, stanęła w dziwnie majestatycznej pozie — ręką pokazała na drzwi i grzmiąco rozkazała:

— Gibel ukradł kotlety, nie będzie kolacyi, nie będzie zabawy, nie będzie imienin: państwo będą łaskawi wont!!

Panie sięgnęły po kapelusze, panowie ostrożnie poczęli się wycofywać... sala opustoszała.

Eustachy Gibel uczuł się obrażonym, zapalił papierosa, oparł się w niedbałej pozie o kant kredensu i oświadczył:

— Pani Dezyderzyna: — od pierwszego mnie tu niema...

A na podwórzu pod pompą siedział nieruchomy Kazik-rzeźnik i tak prawił do głaszczącej go po włosach panny Klarci:

— Przez pannę podniosłem rękę na szefa; przez pannę szefa frak poszedł *w nima.*

Adam Grzymała-Siedlecki.



Pochwała wieku dojrzałego.

Marzę często o tym wieku
Gdy Zwierzę ginie w człowieku.
Gdy już żadna z ziemskich chuci
Władzy ducha nie ukróci.
Jak to musi być przyjemnie!
Nic po za mną, wszystko we mnie:
Zmysłów swoich gęstą pianę
Zbierasz sobie jak śmietanę,
I rzucasz (czy to nie prościej?)
Na ekran Nieskończoności.
Oczyszczony duch ulata
W harmonijne kręgi świata,
Dokoła człowiek spogląda:
Nic nie pragnie, nic nie żąda,
W ciągłej extazie na jawie
Żyje się... za bezcen prawie.
A czas! Tu dopiero zyski:
Żaden ciała popęd niski
Roboczego dnia nie kurczy,
Nie zawadza w pracy twórczej;
Z pokoju, mocą tajemną,
Nie wygania cię w noc ciemną;
Gdzież tam! z niebiańskim spokojem
Siedzisz przy biureczku swojem,
Huczy, dymi samowarek,
Ty równiutko, jak zegarek,
Zawsze z jednaką ochotą
Nizasz myśli nitkę złotą,
Uprawiasz swój interesik
Pogodnie jak drugi Esik.
Od czasu ducha narodzin
Dzień podwoił liczbę godzin!
A cóż dopiero w podróży!
Żadna chwila się nie dłuży!
Ląd, czy morze, ty bez przerwy
Zawsze masz spokojne nerwy;
Nie zachodzisz nigdy w głowę
Jak blisko miasto portowe;
Nie stajesz calutki w ponsie
Przy podejrzanym anonsie;
Bez żadnej myśli ubocznej,
Jak prosty świadek naoczny
Badasz sobie obce kraje,
Zwyczaje i obyczaje,
Oglądasz domy, ulice,
Zwiedziasz śliczne okolice,
Bez kłopotów, bez przykrości,
Bez dwuznacznych znajomości:
Nie zrozumie ta dzicz młoda
Co to za wściekła wygoda.
Cóż to za przesąd, zaiste,
Ot, urągowisko czyste,
Ta niby prawda utarta,
Że tylko młodość coś warta.
Przypomnij sobie człowieku,
I czem ty byłeś w tym wieku?
Ot, pędziwiatr, dureń młody,
Ślepe narzędzie przyrody,
Wszędzie gotowe po trosze
Wściubić te swoje trzy grosze;
W szaleństwie gorszy od zwierząt
Wprost już nie człowiek, lecz przyrząd!
I co taki wie o świecie,
O życiu, czy o kobiecie?
Czy w tym pustym łbie się mieści
Co znaczy powab niewieści?
Ta harmonia niesłychana,
Po to od Boga jej dana,
By iść przez świat niby święta,
Uwielbiana i nietknięta,
Obca wszelkim ziemskim szałom
Wieść ludzkość ku ideałom!
Czy taki młokos to czuje,
Czy zrozumie, uszanuje?
On, co żyje jedną chętką:
Dużo, bylejak i prędko.
— Inna rzecz, gdy już w nas cudnie
Nieczystość wszelka wychłódnie.
Wówczas, ach, wówczas dopiero,
Wraz z tą najpiękniejszą erą,
— Wielu z panów mi to przyzna —
Żyć rozpoczyna mężczyzna:
Gdy z płci swojej niewolnika
Zmienia się w pana, zwierzchnika;
Gdy wolny od grubszych robót
DUCH zażywa pełni swobód.
Czy zrozumie młoda głowa
Co to naprzykład rozmowa?
Gdy dwie płcie, zgoła odmienne,

Wymieniają myśli cenne;
Słowo z słowem igra, skrzy się,
Fruwa jak piłka w tenisie,
Czasem leciutko dotyka
Misternego dwuznacznika,
To paradoxem się mieni,
To liczko wstydem spłomieni;
Któż mistrzem w takiej rozmowie?
Tylko dojrzali panowie.
A młody? głupie to, płoche,
Tylko pobrudzi pończochę,
Bąka coś — pożal się Boże,
To znów kwaśny, nie w humorze,
Jedna myśl go ściga wszędzie:
Będzie... z tego, czy nie będzie.
Nigdym pojąć nie był w stanie,
Jak to może bawić Panie.
Słowem, nie przesadzę wcale:
W podróży, czy w kryminale,
Przy pracy, czy przy zabawie,
W każdej sytuacyi prawie,
Czy przy politycznej misyi,
Czy w teatralnej komisyi,
Wiek... dojrzały ma, bez blagi,
Tak oczywiste przewagi,
Że życzę wam, bracia mili,
Byście go rychło dożyli.

Boy.

KRONIKA.

— **Reduta prasy.** Punktem kulminacyjnym karnawału stanie się niezawodnie Reduta prasy, która odbędzie się w Starym Teatrze 26 bm. Komitet wykonawczy złożony z 10 redaktorów, 45 członków redakcyi, 111 współpracowników dziennikarskich i 1 inżyniera, gorliwie się krząta, aby tradycyjna zabawa wypadła wprost nadzwyczajnie. Sekretaryat, do którego należy dziewięciu dziennikarzy, a jeden tylko rzeźbiarz, rozesłał już 99.000 zaproszeń. Ponieważ pozostało ich jeszcze tysiąc, dalsze zgłoszenia są jeszcze przyjmowane.

Szczegóły działalności komitetu redutowego osłonięte są ścisłą tajemnicą. Wydawnictwo jednak *Chwili aktualnej*, która rozporządza całym sztabem reporterów jawnych i tajnych, męzkich i żeńskich, w drodze podsłuchań i innych niedyskrecyi zdobyło informacye, które niniejszem podaje do wiadomości. Oto: cały gmach Starego Teatru zajęty będzie przez uczestników zabawy; w murze przytykającym do kamienicy p. Wolnego w kilku miejscach wybite będą podwoje, aby gościom udostępnić także rozparcie się w fotelach Klubu prawników i Koła literacko-artystycznego.

Powstał także projekt sięgnięcia do domu przy placu Szczepańskim L. 3, aby tam w „Drobnerionie“ także porozmieszczać ochoczych reduciarzy. Czternaście orkiestr cywilnych i wojskowych przygrywać będzie podczas zabawy, która — komitet na to liczy — przeciągnie się do następnego wieczora. W tym celu osobny oddział komitetu zajął się przygotowaniem olbrzymich syfonów, z których pompować będzie można gorący o temperaturze przechodzącej możność ludzką — barszcz.

Role inkwizytorskie tym razem powierzone będą paniom. W pawilonie zasiędą trzy postacie (Goplana, Halka i Chochlik), które z nadzwyczajną delikatnością spełniać będą swoją misyę. Każda z pań przybywająca na redutę, będzie musiała uchylić maski — dla kontroli. Inkwizytorki będą do niemożliwości — dyskretne, a nawet, jak słychać, udzielą kilku lekcyj poglądowych panom, aby na sali balowej rozpoznawszy daną maseczkę, nie niweczyli natychmiast jej *incognita* wobec zebranej publiczności.

O godzinie 12 herold prasy wypowie oracyę i wezwie do zakupna flaszek szampańskiego, które będzie oddane za bezcen. O wpół do drugiej rozpoczną się tańce szkieletów w 60 par; szkielety będą płci obojej.

Po tym denerwującym wstępie — nastąpi pauza, a potem...

Dalsze fenomenalne wprost szczegóły Reduty muszą na razie pozostać tajemnicą.

— **Wiadomości osobiste.** Redaktor naczelny *Dziennika karnawałowego* wyjechał dzisiaj na urlop. Będzie to wytchnieniem nie tylko dla niego, ale i dla licznych literatów i dziennikarzy, co więcej muzyków i adwokatów, bo przez jakiś czas nie będzie od nich żądał artykułów do następnego numeru *Żywego Dziennika.* Redaktor powraca — za dwa dni — do Krakowa. Wtedy zajmie się *Dziennikiem Postnym.*

— **Szopka krakowska.** Z powodu niesłychanego wprost powodzenia, jakiem się cieszy Szopka w „Michalikowej Jamie“, dotychczasowe ceny wejścia ulegną małej zmianie. Zamiast pięciu koron bilet kosztować będzie 15. Przedstawienia Szopki odbywać się będą codziennie aż do lipca. Na sierpień przeniosą się sympatyczni lalkarze do letniej stolicy Polski, gdzie na specyalnie u stóp Gewontu zbudowanej arenie, kontynuować będą swoją sztukę. We wrześniu — w Krakowie — da capo.

— **Na linii A—B** dało się dziś pod wieczór zauważyć dziwne zjawisko. Dziwnemi ruchami zwracały uwagę przechadzające się niewiasty, hołdujące ostatniej modzie. Zastosowawszy najnowszy pomysł paryski: spętanie nóg poniżej kostki a bezpośrednio nad stopą, przestały chodzić a zaczęły — skakać. Co widząc płeć męska pierzchała bez opamiętania w obawie o całość swoich — odcisków.

— **Wiec artystów.** Pod przewodnictwem znanego malarza p. Kaspra Żelechowskiego odbyło się w mieszkaniu również znanego artysty p. Leonarda Stroynowskiego w willi Lasockich na Dębnikach, zgromadzenie artystów. Liczne, z kilkudziesięciu uczestników złożone zebranie, obmyślało sposoby, w jaki sekretarza Towarzystwa Przyj. sztuk

pięknych możnaby zmusić do tego, aby się stał lepszym. Do uchwał nie przyszło z powodu rozbieżności zdań: jedni, których obrazy wieszane bywają w salach Towarzystwa u dołu, twierdzili, że sekretarz jest dobry, inni (obrazy ich wiszą wysoko) chcieli, aby był — lepszym. Nad sprawą — jak słyszymy — zastanowi się wiec akcyonaryuszów Towarzystwa, który w najbliższych dniach ma być zwołany.

— **Potanienie mięsa.** W tych ciężkich czasach podzielić się możemy z czytelnikami miłą wiadomością. Oto rzeźnicy krakowscy obniżyli cenę mięsa do połowy. Zostało to wywołane postawą obywateli, którzy po zjedzeniu tak wielkich mas sprowadzonego z Argentyny mięsa, przez jakiś czas oddawać się zaczęli wyłącznie — jarstwu.

— **Z Rady m. Krakowa.** Wczorajszemu posiedzeniu, które rozpoczęło się o godzinie 6 popoł. przewodniczył prezydent Leo. Po odczytaniu nadeszłych pism, w rzędzie których zwracała uwagę petycya urzędników magistratu o zrównanie ich poborów z płacami trzech najwyższych rang urzędników państwowych, nastąpiły interpelacye. Zajęły one tak wiele czasu, że zdołano załatwić zaledwie pierwszy punkt porządku dziennego. W myśl wywodów referenta Rada zreasumowała powzięcie dawnej uchwały co do wybrukowania Rynku głównego. Uchwalono natomiast urządzić w tem miejscu ślizgawkę; w tym celu cały Rynek polany będzie wodą na wysokość 13 centimetrów i w ten sposób przy mrozie powstanie ślizgawka. Nie omieszkano jednak pomyśleć o zabiegach na przyszłość. Na wypadek odwilży, a co zatem idzie — powodzi, zaradzi grożącemu niebezpieczeństwu następujący wniosek:

„Wzywa się sekcyę ekonomiczną, aby w porozumieniu z komisyą skarbową obmyśliła zawczasu środki zapobiegawcze; sekcya prawnicza ustali tekst petycyi, która wniesioną będzie do rządu, Koła polskiego, Wydziału krajowego i Sejmu“.

Zaznaczyć należy, że jeden z radnych miasta, który podczas posiedzenia smacznie chrapał, podczas dyskusyi ślizgawkowej nagle się obudził i poprosił o głos. Czyni tak zawsze, gdy jest mowa o — wodzie.

O godzinie $6\frac{1}{2}$ prezydent z powodu spóźnionej pory — zamknął posiedzenie.

Aleksander Karcz.

Z sali sądowej.

Dawno nie posyłałem sprawozdań z sali sądowej, lecz ocierając się o różne władze, „o prawo“, uświadomiony — zmuszony byłem prowadzić życie obywatela, unormowane literą prawnych przepisów, który dbały o swe mienie, cześć i wolność, nie chce wejść w kolizye z władzami i sądem.

A obowiązki to nielada. Absorbują one tak życie, iż poza tem nie pozostaje czasu na inne bagatele, jak: rodzina, spełnianie obowiązków stanu, zawodu, wypełnianie obowiązków społecznych, postulatów kulturnych!

Proszę posłuchać i osądzić.

Ledwie z łóżka się człowiek zerwie i coś przekąsi, musi przypomnieć dokładnie, czy też nie jest zaproszony przed jakąś władzę — sąd krajowy cywilny, sąd krajowy karny, sąd powiatowy cywilny, sąd powiatowy karny, sąd górniczy, sąd przemysłowy, sąd opiekuńczy, sąd kuratelarny, sąd egzekucyjny, starostwo, policyę, dyrekcyę skarbową, administracyę podatkową... brr! — Na samą myśl człek się wzdryga, lęk go ogarnia, ręka za pulares chwyta — urząd wymiaru należytości, sławetny magistrat, a to pod rygorem przyprowadzenia go w drodze przymusowej, albo „wymierzenia“ nań kary skromnych koron 50!

Mieszkali obok czuli małżonkowie owego związku na miłości opartego, swarzyli się, bili — idź na świadka; okradła cię kucharka — idź na świadka; zrobiła krawcowa kostyum zielony, zamiast zamówionego czarnego... i to na pulchny osobnik, podczas gdy ty jesteś posiadaczem wiotkiej kibici — idź na świadka; przechodziłeś człeku przez Rynek, gdzie dwie przekupki pokłóciły się i parlamentarnymi wyrazy objawiały swe niezadowolenie — idź na świadka; niewiasta świadoma swych celów na ziemi została matką i chce cię mieć za opiekuna dla przyszłego ministra — biegnij do sądu; zajęli ci futro u sąsiada, któremś mu dogodził, aby mógł godnie reprezentować swe stanowisko społeczne na weselu u p. radcy — idź po nie do sądu.

Zeznałeś najsumienniej dochód cały jaki masz — dostajesz grzeczną odpowiedź: kłamiesz asan; to być nie może, masz przecież oprócz kuchni mieszkanie, a może i przedpokój, chodzisz w całym surducie, spodniach i butach, masz służącą, widziano cię raz w dorożce po podniesieniu taksy na 60 hal. za kurs, na Boże Narodzenie w teatrze; to wskazuje, że masz znacznie większe dochody, a że poufnie dowiedziała się c. k. komisya podatkowa, iż przyjmujesz gości, brat z żoną bawili u ciebie w przejeździe przez Kraków od pociągu do pociągu, że jadasz bracie mięso, to już wskazuje, że masz kapitały, że masz rentę, zwłaszcza, iż na licytacyi sprzedano ci dom na Prądniku, z czego pozostał kapitał 167 kor. 34 hal., a komisyi nie wiadomo na coś go wydał. Idź, sumituj się i egzkuzuj, tłómacz się, iż kapitał ów wydałeś na cel, którego ci gentelmenia wyjawić nie pozwala.

I wszędzie trzeba się wystać godziny — w poczekalni urządzonej w nieopalonym korytarzu, na którym wiatry igrają, jak na stepach ukraińskich.

By uchronić się od strat materyalnych, a nawet dotkliwych moralnych przykrości, należy następnie pilnie odczytać urzędowe ogłoszenia w gazetach, aby się przekonać, czy kto nie amortyzuje losów i papierów wartościowych twoją własnością będących, czy kto nie chce oddać cię pod kuratelę, uznać za zmarłego, lub czy nie ogłasza zapowiedzi z twą żoną, jako panną.

Potem lektura urzędowych dzienników, podających ustawy, a to nie tylko dzienników podających ustawy państwowe, ale i krajowe i miejskie, boć nieświadomość ustawy nie uniewinnia, a człowiek w nieświadomości może coś popełnić, za co się może dostać do kozy.

Praca to ciężka, boć ustawy te się mnożą jak grzyby po deszczu, a stylizowane są tak, by wypełnić ową maksymę, „iż ustawa winna być tak pisaną, aby każde oparte na niej twierdzenie można raz udowodnić jako prawdziwe, drugi raz jako fałszywe“.

Nie dosyć jednak, by znać ustawę, odczytać ją i wyrozumieć.

Należyte bowiem tłómaczenie ustawy można znaleść dopiero w orzeczeniach c. k. sądu najwyższego w Wiedniu, który ją stosuje wedle własnego zdania i uznania, a że wiadomo *quot capita tot census,* co na polskie ktoś przetłómaczył, iż niema nonsensu, któregoby umysł prawnika nie potrafił wywnioskować, przeto orzeczenia co dnia się zmieniają wraz ze zmianą ludzi, którzy w niej udział biorą, zmianą stosunków etc. etc.

To też, by ustrzedz się od następstw, z nieświadomości ustawy wypłynąć mogących, należy przeczytać i orzeczenia sądu najwyższego.

Trzeba dalej powypełniać różne fasye: zeznania podatkowe, czynszowe i odpowiedzi na różne zapytania.

By w tym labiryncie rozpoznać się, rzecz nie łatwa wcale, a przy każdym grożą ci kary pieniężne i koza.

Przed wyjściem z domu musisz zarządzić i przekonać się, czy służąca myjąc okna należycie przywiązała się, czy praczka na strych ze światłem nie poszła, czy wszystkie okna pozamykane, narzędzia ostre pochowane, lampy i obrazy wiszące na sufitach i murach dostatecznie umocowane, czy suczka twej żony w przepisany kaganiec zaopatrzona, bo jak psina na ulicę wypadnie, lub jak będzie wypadek, zapłacisz bracie grube odszkodowanie i w dodatku pójdziesz do kozy. Rozmów się jeszcze z matką 8 jedynaków, których opiekę ci dano, a od której uwolnić się możesz datkiem kilku koron.

Gdy to skończysz, szczęśliwy obywatelu prawnego państwa, zbieraj się i biegnij na miasto po wszystkich urzędach, czytaj pilnie ogłoszenia tamże na tablicach rozlepione, abyś wypełnił obowiązki, do których wypełnienia wzywają cię urzędowemi ogłoszeniami, abyś nie popadł w kolizyę z ustawą, by ci kto domu na licytacyę nie wystawił, wolności i mienia nie zabrał. A idż ostrożnie i rozważnie — nie dlatego, że w Wielkim Krakowie wielki nieporządek, że możesz, pośliznąwszy się nogę złamać, pod krzyżujące się tramwaje, fiakry i wózki wpaść i zmiażdżonym zostać, ale dlatego — byś nie wszedł w kolizyę z ustawą, nie tą cywilną, ale karną!

Rzucisz ogryzek papierosa na ziemię, a niech kto upadnie — pójdziesz do kozy; spluniesz przez zapomnienie, w roztargnieniu, wbrew zwyczajowi na ziemię — za ułatwienie w zawleczeniu chorób zakaźnych znowu koza ci grozi; zerkniesz na niewiastę — a grozi ci patent karny za publiczną niemoralność; staniesz najniewinniej w świecie pod parkanem — a już stróż bezpieczeństwa piątkę zażąda. Gdy zaś zaprotestujesz, znajdziesz się w kozie za obrazę urzędnika, jeśli już nie w kryminale za gwałt publiczny na osobie urzędniczej dokonany.

W drodze nie omieszkaj przyjacielu przeglądnąć rozlepionych na rogach ulic afiszy, a nuż jakieś wezwanie lub przestroga ludności, której niewypełnienie pociągnie za sobą odpowiedzialność materyalną, a i utratę wolności.

Na to wszystko ranek i południe nie wystarczą. Tymczasem rodzina czeka: żona zrzędzi, bachory się chlebem opychają, już i tak mała wołowa pieczeń kurczy się na ogniu do miniaturowych rozmiarów, a ty gonić musisz.

Wreszcie wpadasz do domu — ledwie zjesz łyżkę zupy i atom mięsa, spiesz się, bo masz do wypełnienia obowiązki konstytucyjnego państwa i obowiązki towarzyskie, które wpływają na twe społeczne stanowisko i materyalne interesa. Wybory, posiedzenia — w towarzystwach zawodowych, humanitarnych, społecznych i sportowych, posiedzenia komisyi, komitetów różnych balów etc. etc.

Zmachany, zziajany, rozdrażniony wracasz do domu i musisz co prędzej wziąć się do literatury, od którejś dzień rozpoczął, a której przed południem skończyć nie mogłeś. Gdy to wszystko pokonasz — noc późna zastanie cię przy biurku, i wtedy jeszcze nie możesz odetchnąć i powiedzieć sobie: wiem wszystko, co mam wiedzieć i jak mam robić, nic mi znikąd nie grozi.

Na biurku leżą gazety, najnowsze książki. Zmęczony, wyczerpany nie masz ochoty na lekturę; zresztą noc późna, jutro rano trzeba wstać, gdyż na ósmą jest wezwanie pod rygorem doprowadzenia w sprawie doniosłej, bo niezgłoszenia psa przyjaciółki twej żony, która przyjechawszy w gościnę na dni parę, nie chciała rozstać się ze swym faworytem i przywiozła go ze sobą.

Przypominasz sobie, że dziś właśnie imieniny żony, dzień ślubu twego przyjaciela, że córka twa przystępowała w tym dniu po raz pierwszy do Komunii św. Żal ci serce ściśnie, jakieś dziwne myśli zaczynają się rodzić w mózgu — rzekniesz: tak być musi, jestem za to c. k. obywatelem państwa prawnego, konstytucyjnego, który wprawdzie z głodu przymiera, bo wartość pieniądza coraz mniejsza, a cena środków do życia coraz większa, ale który za to ma prawo wybierać i być wybieranym, a nawet szanse zostać c. k. ministrem, gdy stronnictwa zaczną się kłó ić i nie zechcą, by którykolwiek z ich grona objął tekę, w którą kandydat nic włożyć nie musi, ale którą napełniać obowiązani są podatnicy, który ma wkońcu prawo płacić podatki, dodatki i i inne daniny.

Kładę się do łóżka z przeświadczeniem, iż dowiedziałem się, że nie wolno kwiatków na plantach zrywać, nie wolno po trawnikach dzieciom chodzić, nie wolno przez szyny kolei przecinającej miasto przechodzić, nie wolno na pewnych drogach chodzić, w pewnych miejscach stać, nie wolno w pewnych miejscach się kąpać, nie wolno w pewnych miejscach palić tytoniu i cygar, nie wolno z pewnej strony wchodzić do tramwaju, nie wolno w nocy śpiewać, lecz tylko płakać, nie wolno psa bez kagańca brać na ulicę — i jeszcze innych masa rzeczy nie wolno, których nie wyliczam, bo, by to uczynić, musiałbym spisać foliały. Już i tak ziewasz czytelniku; jakby to dłużej potrwało, usnąłbyś na dobre, a jutro spóźniłbyś się do administracyi podatków, aby zeznać, ile kosztuje kapelusz twojej żony, który dostała od swej przyjaciółki, właścicielki hali licytacyjnej.

*

Muszę wreszcie przystąpić do rzeczy — do wypełnienia obowiązków reportera, zbierającego wiadomości u władz bezpieczeństwa — w sali sądowej.

Praca to nielada.

Gdy się mówi sąd, zdawaćby się mogło, iż to gmach jakiś jeden wspaniały, w którym obrała siedzibę boska Temida. Tak nie jest.

Aby zaprotestować przeciw systemowi centralizacyi, a popierać środki komunikacyi, sąd nasz rozsiadł się w różnych do mieszkania już niezdatnych ruderach, które właściciele zamiast zburzyć, wydzierżawili wysokiemu skarbowi państwa za drogie pieniądze, a ten ostatni wynajął w przeświadczeniu, iż zewnętrzna powaga władzy, dziś gdy rządzą studenci, bez znaczenia, a takie lokale będą w interesie urzędników nawet, bo tracąc tam zdrowie i życie — umożliwiają szybszy awans.

Opatrzywszy się więc w kalosze, środki desynfekcyjne dla zmysłu powonienia, latarkę celem uchronienia się od robicia nosa lub złamania nogi na ciemnych schodach, korytarzach i nyżach — można po godzinnej wędrówce obejść sąd św. Piotra, sąd u św. Michała, sąd jeden i drugi przy ul. Kanoniczej, sąd przy ul. św. Jana, sąd przy ul. Karmelickiej, które dla jeszcze lepszej dogodności publiczności — w wykonaniu c. k. zasady, iż nos dla tabakiery — rozdzielono w ten sposób, iż części składowe uzupełniające się jednego sądu mieszczą się już to przy ul. św. Jana, już to w gmachu św. Piotra.

*

Wpadłem na policyę zapytując, czy niema jakiej nowiny. Uprzejmy, jak zwykle komisarz, podał mi do ręki doniesienie stróża bezpieczeństwa: „Niżej podpisany przyaresztował Kaspra Ciebułę za awantury. Gdym go chciał uspokoić — udawał pijanego, a gdym go aresztował — odezwał się do mnie: Ty małpo policyjna. W tem dowód, iż był w zupełnem posiadaniu zmysłów“.

Wchodzi policyant i przyprowadza przyaresztowanego żydka.

— Melduję posłusznie, co pan ten podejrzanie wyglądał, a jak mnie zobaczył, zaczął ciekać w stronę Sukiennic w skrzydło pod Muzeum Narodowe. Zawołałem, by stanął, gdy nie usłuchał, począłem biedz za nim. Uciekł jeszcze szybciej i ukrył się; gdy wyszedł, przyaresztowałem.

Komisarz: Jak się pan nazywa?

— Stinkenduft — do usług pana komisarza.

— Masz pan papiery?

Żydek trzęsąc się wyjmuje z kieszeni paczkę i podaje komisarzowi.

Komisarz: Papiery pana w porządku. Po cóż pan uciekał i nie stanął, gdy żołnierz policyjny na pana zawołał?

— Nu, proszę pana komisarza, ja piję wodę karlsbadzką i myślał, co pan policyant także pije i bał się, żeby mnie nie przegonił.

*

Z policyi udałem się do aresztów sądowych. Zastałem dyrektora ogromnie zakłopotanego. Na zapytanie odrzekł:

— Mam rozporządzenie, by aresztantom dawać zajęcie odpowiadające ich uzdolnieniu. Mam tu pianistę, poskramiacza lwów, sztukmistrza jazdy na welocypedzie, śpiewaka, sztygara, suflera teatralnego, listonosza, szofera, badacza źródeł Nilu, aeroplanistę i kokotę — i nie wiem, co mam z tymi ludźmi zrobić, aby uczynić zadość rozporządzeniu ministeryalnemu.

Nie mogąc mu dać odpowiedniej rady, pobiegłem do sądu powiatowego dla spraw karnych.

*

Prowadził rozprawę sędzia znany z humoru. Słuchano świadka.

Sędzia: Zamężna?

Świadek: Tak jest — dwa razy.

— Wiek?

— 28 lat.
— Czy także dwa razy?

Wywołano drugą sprawę.
Sędzia: Oskarżony pan jesteś, żeś pobił pana Fujarkiewicza — proszę opowiedzieć, jak to było.
Oskarżony: Rozmawialiśmy bardzo grzecznie; naraz Fujarkiewicz zapytał się mnie: Słuchaj pan, gdy $1^1/_2$ kury w $1^3/_4$ zniosło $1^1/_4$ jaja, wieleby jaj zniosło $3^3/_4$ kur w 7 godzinach i 14 sekundach. Rozwścieklony uderzyłem go.
Sprawa się skończyła zasądzeniem oskarżonego, wobec tak przemawiającej okoliczności łagodzącej, na 2 kor.

Nowa sprawa.
Brzękała skarżył Kukłę o obrazę, bo mu powiedział: „Ty sakramencki hadwokat". Sędzia namawiał do zgody, a gdy to nie poskutkowało, kazał oskarżonemu siąść obok żelaznego pieca silnie rozpalonego, a do mnie się odezwał:
— To już nieraz pomogło i do zgody nakłoniło.
Przeprowadzono inną rozprawę. Po jej ukończeniu odezwał się pan sędzia do Brzękały:
— No może się pan namyślił i już się pogodzi.
Na to Brzękała: Panie sędzio, nie, nie pogodzę się, piec na mnie wpływu niema, ja jestem hajcerem u Zieleniewskiego.

Pani Kapuścińska, sławetna przekupka z placu Szczepańskiego, zaskarżyła sąsiadkę Gderalską, że jej język pokazała.
Słuchany świadek zeznaje, iż rzeczywiście tak było.
Obrońca zapytuje świadka:
— Czy Gderalska wystawiła język na skarżącą, czy też w powietrze?
Świadek: A juści w powietrze.
Sędzia ogłasza wyrok uwalniający, gdyż zeznaniami świadka udowodnionem zostało, że oskarżona wystawiła język w powietrze, więc tylko powietrze mogłoby skarżyć.

W sprawie, w której występował jeden z ciętych członków naszej palestry, przemawiał jakiś poszkodowany aktor i oświadczył:
— Sądzę, iż te argumenty wystarczają, ale ja mam w zanadrzu jeszcze inną broń, którą potrafię każdego urwisa pokonać.
Na to odezwał się adwokat: Wysoki sądzie! proszę temu człowiekowi broń tę odebrać, bo gotów jeszcze popełnić samobójstwo.

Nowa sprawa.
Wstaje świadek. Sprawa ważna, bo pies, mimo zakazu, był bez kagańca.
Świadek będzie przysięgać — musi mówić prawdę, ale tylko to, co wie z własnego przeświadczenia, a nie z opowiadania innych.
— Otóż przedewszystkiem, kiedy świadek się urodził?
— Panie prezydencie — powiedzieć tego nie mogę, bo przecież ja to wiem także tylko z opowiadania.
Sprawa się skończyła. Sędzia wydał wyrok: uznaje się oskarżonego winnym i zasądza na 12 godzin aresztu obostrzonego 1-dniowym postem

Nowa sprawa.
Świadek kobieta.
Sędzia: Zajęcie świadka?
— Jestem mamką.
— Czy pani sama wypełnia swoje zajęcie?
Wybiegłem i wpadłem do sądu krajowego karnego.

*

W ciemnym przedpokoju tłumy ludzi — gorąco, jak w piekle, brudno, jak na ulicach Krakowa, powietrze gęste, woń zabijająca.
Wszedłem na salę rozpraw.
Sala mała, niska, brudna, tłum ludzi; ciemności panujące rozprasza lampa gazowa; zaduch uniemożliwia oddech.
Blisko południe, kończyła się druga sprawa, a wyznaczono ich na ten dzień 14, boć to koniec roku i sąd musi wykazać w ministeryum, że niema zaległości.
Sprawa o dwużeństwo. Przemawia adwokat, prosi o wyrok uwalniający twierdząc, iż oskarżony najdotkliwiej będzie ukarany, mając aż dwie teściowe naraz.

Nowa sprawa. Spotkało nieszczęście jakiegoś obywatela z Brzeska. Przez zapomnienie podpisał na wekslu swego sąsiada, właściciela domu. Staje świadek, żydek z Brzeska. Sędzia wzywa go, by wyprostował się i położył rękę na torę.
Świadek się tłómaczy, że go ręka boli, nie włada nią należycie.
Sędzia: Widocznie świadek boi się przysięgi.
— Co?! Ja boję się przysięgi? — rzeknie świadek — a proszę wynaleść taką, którejbym ja nie złożył.

Sprawa jakiegoś nałogowego złodzieja.
— Liczysz pan dopiero niespełna 20 lat, a już 12 razy byłeś karany. Widocznie jesteś do gruntu zepsutym. To wszystko pochodzi ze złego towarzystwa.
Oskarżony: Być może — mam ciągle do czynienia z władzami.

Staje przed sądem jakiś filut i poczyna kręcić i kłamać.

Sędzia: Czy oskarżony myśli, że my mu wierzymy? Cóż to oskarżony nas uważa za łatwowiernych głupców?

Oskarżony: Na to pytanie odmawiam odpowiedzi.

Wywołują nową rozprawę.

Prokurator żąda wyłączenia jawności ze względu na moralność publiczną.

Przewodniczący zwraca się do publiczności i mówi:

— W procesie tym będą bardzo drastyczne rzeczy omawiane; proszę zatem panie w ich własnym interesie, aby salę opuściły.

Pauza — oczekiwanie — żadna z kobiet się nie rusza, a właściwie wszystkie się poruszyły wychylając białe szyjki i nastawiają różowe uszka.

Na ławie oskarżonych zasiadła znana piękność Krakowa.

Silna woń paczuli napełnia powietrze. Damulkę broni znany lebeman adwokat Dr Silbermann.

Znajdujący się na sali kolega podchodzi do Dra Silbermanna i wita go słowy:

— No, wkrótce kolega zmieni nazwisko.

— Jakto? — zapytuje Dr Silbermann.

— Rzecz naturalna — wkrótce będziesz się nazywać Dr Mann, bo skoroś się zetknął z tą panią, to „Silber“ wkrótce stracisz.

Rozpoczyna się rozprawa.

Staje jako świadek — student. Wywiązuje się polemika gorąca między obrońcą a świadkiem. Student zeznaje na niekorzyść obwinionej.

Zniecierpliwiony Dr Silbermann odzywa się do studenta:

— Ale z pana mądry pan.

Student, uprzejmie się kłaniając: Panie mecenasie, bardzo żałuję, że w uprzejmej odpowiedzi nie mogę panu tego samego powiedzieć, gdyż zeznaję pod przysięgą.

*

Wpadłem do sali przysięgłych.

Przemawia prokurator udowadniając, iż oskarżony jest zbrodniarzem z urodzenia, pozbawionym wszelkich ludzkich instynktów, którego w interesie bezpieczeństwa publicznego powinno się na całe życie wziąć pod klucz.

Przewodniczący zarządza pauzę. Podchodzą przysięgli do obrońcy i jeden z nich odzywa się: Panie mecenasie, rzecz jasna jak słońce. Pan prokurator ma zupełną racyę. Obrońca protestuje i prosi by poczekał ze sądem do jego wywodów.

Przewodniczący zarządza dalszą rozprawę.

Przemawia z zapałem obrońca wykazując, iż klient jego czysty jak słońce — to istny gentelman.

Przewodniczący zarządza nową pauzę.

Znów przysięgli zbliżają się do obrońcy, a ten sam, który mówił po przemówieniu prokuratora, iż podsądny jest winien, odzywa się znów do obrońcy: Ma pan mecenas racyę, to nieszczęśliwy, zupełnie niewinny człowiek.

Stojący obok przysięgły: Ależ kolego, po przemówieniu prokuratora mówiliście, że winien, po przemówieniu obrońcy, że nie winien — przecież obaj panowie nie mogą mieć racyi!

Ten sam sędzia przysięgły: Wiesz, że i kolega masz racyę.

Ogłaszają wyrok: Za zabójstwo, oszustwo i oszczerstwo 10 lat ciężkiego więzienia.

Oskarżony zaczyna wołać: „10 lat — to za wiele, tylem nie zasłużył!“

Jowialny obrońca pociesza go słowy: 10 lat to jeszcze nie tak dużo — jakoś to pan wytrzyma; patrz pan, ja tamtego tygodnia obchodziłem srebrne wesele, a to jakoś wytrzymałem.

*

Zaglądnąłem do sądu cywilnego.

Godzina 4-ta po południu — przesłuchiwano świadka.

Na twarzach sędziów zmęczenie. Wchodzi świadek. Sędzia stawia sterotypowe zapytanie, czy świadek ze stronami jest w pokrewieństwie lub powinowactwie?

Świadek się śmieje.

Sędzia rozgniewany: Wypraszam sobie śmiechy. Po raz drugi pytam, czy jest świadek ze stronami w pokrewieństwie czy powinowactwie?

Świadek: Ależ panie sędzio, powód — jest skarb państwa, a pozwaną — jest gmina Rzeszotary.

Pauza. Podchodzę do adwokatów. Jeden z nich trzyma w ręku telegram i odzywa się — Prowadziłem proces tutejszego kupca. Musiał wyjechać i prosił o telegraficzną wiadomość o wyniku. Proces wygrałem — i stosownie do życzenia posłałem telegram: „Słuszna strona wygrała“. W tej chwili otrzymuję odpowiedź od klienta: „Natychmiast wnieść apelacyę“.

Opowiadano mi, iż wczoraj w tutejszym sądzie skończył się proces pomiędzy gminą X, a familią Y. Trwał on 300 lat. Wniesiono w nim 27.836 pism. Statystyk obliczył, że papier do tego zużyty wystarczał, ażeby Giewont wytapetować, atramentem zużytym możnaby zaczernić Morskie Oko, bibułą osuszyć takowe. Z 417 adwokatów, którzy wygrali proces. 58 przepowiadało, iż trwać on będzie najmniej 22 tysiące lat, coby pociągnęło za sobą koszta sądowe 2 miliardy koron; ponieważ koszta takie byłyby nieściągalne, przeto postanowiono w szybszem tempie postępować — i proces w trzystu latach w drodze ugodowej ukończono.

Ludwik Szalay.

Telegramy
Chwili aktualnej.

Wybór prezydyum Koła Polskiego.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Wiadomość o wyborze posła Łazarskiego prezesem Koła okazała się mylną. Wybór odbędzie się w tych dniach. Podobnie rzecz się ma z wyborem wiceprezesów. Dzisiaj wszystkie 21 frakcyj Koła polskiego obradują nad ustaleniem norm wyboru.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Frakcye Koła jednomyślnie uznały, że prezesem może być tylko poseł nie należący do żadnego stronnictwa, nie posiadający żadnej marki politycznej i nie zaangażowany w żadną akcyę, któraby przesadzała jego stanowisko w jakiejkolwiek sprawie. Obranym może być tylko taki poseł, o którym nikt nie wie, do jakiej partyi należy.

Wiedeń (Tel. *Chwili aktualnej*). Ze strony dobrze poinformowanej donoszą, że także i posłowie t. zw. dzicy, t. j. nie należący do żadnej frakcyi, nie mogą kandydować na prezesurę. Kto jest dzikim, należy tem samem do partyi dzikich, więc jest od wyboru wykluczony.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Największe szanse posiada w tej chwili poseł Gaduch. Został on wybrany jako ludowiec, przeszedł do narodowej demokracyi i wczoraj z niej wystąpił. Zapytany, oświadczył, że obecnie już sam nie wie, jakie ma przekonania. Wywołało to powszechny entuzyazm. Wybór posła Gaducha zapewniony.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*) W ostatniej chwili wyłoniły się trudności. Wprawdzie pos Gaduch istotnie sam nie wie, do jakiej partyi ma się przyznać, ale zaangażował się już politycznie w zbyt wyraźnym kierunku. Jak donosi *N. fr. Presse,* pos. Gaduch wygłosił przed r. kiem w komisyi weterynaryjnej podczas obrad nad kolczykowaniem świń pamiętne przemówienie: *Ich beantrage den Schluss der Debatte.* Kandydatura pos Gaducha upadła. Prezesem może być tylko poseł, który jeszcze nigdy o niczem głosu nie zabierał. Kandydatów takich byłoby wielu, cóż, kiedy należą do różnych partyj. Prezes musi być bezpartyjnym.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Przyjaciele posła Gaducha zapewniają, iż w razie wyboru kandydat ich zobowiąże się pisemnie nie mieć nigdy żadnych przekonań i nigdy słowa nie powiedzieć. Zabiegi te są daremne. Mowa o kolczykowaniu świń mści się na pośle Gaduchu. Kandydatura jego wykluczona.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Wobec nieprzezwyciężonych trudności w wyborze prezesa, odroczono go na czas nieograniczony, przystępując do wyboru wiceprezesów. Uchwalono pomnożyć ich liczbę do sześciu.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Koło uchwaliło wybrać siódmego wiceprezesa.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Koło uchwaliło wybrać ósmego wiceprezesa.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Wybór dziewiątego, dziesiątego i jedenastego wiceprezesa odbył się przez aklamacyę. Postawiono wniosek, aby dalszych czternastu wybrać *en bloc.*

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Dotychczas wybrano sześćdziesięciu wiceprezesów.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Koło uchwaliło jednomyślnie, że ma składać się z samych wiceprezesów. Pisma komentują żywo ten fakt przełomowy.

Sprawa kanałowa.

Wiedeń. (Tel. c. k. Biura korespond.). Dzisiaj zawarto kompromis między rządem a Kołem polskiem w sprawie kanałów wodnych. Kanał Dunaj-Wisła będzie zaniechany. Rząd zgodził się natomiast na przyczynienie się do kosztów kanału krajowego. Będzie on przeprowadzony na półwsiu Zwierzynieckiem, a połączy ulicę Tyły z ulicą Lajkonika.

Strajk uniwersytecki.

Ponieważ *Chwila aktualna* położyła sobie za zasadę najzupełniejszą objektywność, przeto postara się najaktualniejszą dziś sprawę strajku uniwersyteckiego zilustrować depeszami innych pism, rezygnując na razie z własnych informacyj w sprawie tak zawiłej. Za źródło informacyj służą nam pisma krakowskie, a także informacye własne pism wiedeńskich. Korespondenci nasi nie depeszują jednak bezpośrednio z głównej poczty do Starego Teatru, gdyż wobec pośpiechu roznosicieli depesz krakowskich trwałoby to zbyt długo; telefonują swe wiadomości do Wiednia, skąd telefonem dostają się one bezpośrednio do naszej redakcyi.

Wiadomości nasze brzmią:

Kraków 15 lutego. *Czas* donosi: Uniwersytet zamknięty w dalszym ciągu. Zachodzi obawa, czy i na półrocze letnie będzie mógł być otwartym, gdyż zawiasy zupełnie pordzewiały. Dokoła gmachu snują się smutnie strajkujący akademicy, zaglądając przez kraty do środka.

Kraków 15 lutego. *Naprzód* donosi: Uniwersytet będzie na półrocze letnie otwarty. Komitet strajkowy wysłał delegatów sekcyi chemicznej, którzy polawszy zawiasy oliwą, stwierdzili, że drzwi się poruszają. *E pur si muove!* Koło uniwersytetu kręcą się smutnie grupki klerykałów.

Kraków 15 lutego. *Nowa Reforma* donosi: Wieści o zamknięciu uniwersytetu nawet na półrocze letnie są znacznie przesadzone. Powstały one z przyczyny, że posiedzenia senatu odbywały się

ciągle przy drzwiach zamkniętych. Nie pierwszy to raz senat odgrywa fatalną rolę w obecnych zajściach.

Dowiadujemy się z zadowoleniem, że do otwarcia uniwersytetu przyjdzie w drodze kompromisu. Senat wsadzi klucz w dziurkę i zakręci nim, młodzież pociągnie za klamkę. Byliśmy zawsze zdania, że tylko współdziałanie senatu z młodzieżą zakończy fatalny spór.

Koło uniwersytetu krążą smutnie studenci strajkujący i przeciwni strajkowi. Liczba obu partyj zupełnie równa.

Kraków 15 lutego. *Nowiny* donoszą: Do komitetu strajkowego napływają coraz liczniej telegramy solidaryzującej się młodzieży. Wczoraj otrzymano depesze od studentów uniwersytetu z Alwerni, Krzeszowic, Mydlnik, Poronina, Tarnowa i Sikornika. Czytelnia Akademicka w Ropczycach poszła najdalej w zapale strajkowym. Nadesłała telegram kończący się przyrzeczeniem: „Chociażby strajk się skończył, noga nasza nie postanie na uniwersytecie!". Odtelegrafowano z podziękowaniem: „W abstynencyi od wykładów świećcie nam dalej przykładem!".

Kraków 15 lutego. *Kuryer ilustrowany codzienny* donosi: Dzisiaj przy zamkniętym uniwersytecie zdarzyło się sensacyjne zajście. Około jedenastej w południe powstało przed Collegium Novum wielkie zbiegowisko. W grupie kilkunastu akademików zbitej w gęsty kłąb, znajdował się w środku człowiek, broniący się rozpaczliwie, wśród okrzyków: **„Niema nic, nic niema!"** Młodzież nacierała nań z temperamentem, wołając: **„Musi być! Musi być!"** Był to jeden z **członków senatu**, od którego młodzież domagała się ze słusznem rozgoryczeniem wyjaśnień, czy nadeszło z Wiednia rozstrzygnięcie co do złagodzenia okrutnych kar na obrońców wolnej myśli. **Jak się dowiadujemy, senat postanowił relegować wszystkich, którzy brali udział w zajściu.**

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że zajście miało przebieg cokolwiek odmienny. Człowiekiem, który znajdował się w grupie studentów był listonosz pieniężny. Wobec tego uczestnicy zajścia unikną zapewne relegacyj, doprowadzających do coraz silniejszego rozjątrzenia.

Wiedeń (Tel. *Chwili aktualnej*). *N. Fr. Pr.* przytacza opinię miarodajnej berlińskiej *Freisinnige Wahrheit und Börsen Ztg.* o zajściach uniwersyteckich. Organ berliński przypomina genezę sprawy w artykule zatytułowanym: *Ein diebischer Priester* i stwierdza, że strajk został wywołany zamianowaniem na katedrę uniwersytetu częstochowskiego w Krakowie znanego działacza klerykalnego, księdza Macocha. Nowy profesor jest tym samym, który wnosił słynne veto przeciw wyborowi Leona XIII po Piusie IX

Organ berliński dodaje, że wzburzenie tą nominacyą w mieście jest powszechne, lecz do wykroczeń ulicznych nie przyszło. Kraków jest wprawdzie miastem prawie wyłącznie żydowskiem, lecz pogromu katolików nie należy się obawiać.

Mięso argentyńskie.

Wiedeń. (Tel. c. k. Biura korespond.). Dzienniki komentują żywo ostatnią uchwałę parlamentu w sprawie dowozu mięsa argentyńskiego. *Reichspost* pisze, że ważyły się dwa sprzeczne prądy: jeden, dążący do ochrony chowu bydła, drugi do ochrony ludności przed drożyzną. Zwyciężył kierunek ochrony bydła. *Neue Freie Presse* wylicza, że na głowę wyborcy przypada importowego mięsa $37^1/_2$ grama.

Wiedeń. (Tel. c. k. Biura korespondencyjnego). Ministerstwo spraw wewnętrznych wygotowało regulamin sprzedaży mięsa argentyńskiego. Główne punkty brzmią jak następuje:

1) Mięso ma ze względów weterynaryjnych ulegać kwarantannie na granicy, co najmniej przez dni czterdzieści. Gdyby jeszcze i potem było do użycia, należy zaprowadzić osobną kwarantannę w rzeźniach miejskich. Punkt ten udziela ministerstwo do wiadomości zarządom miast i cechom rzeźnickim.

2) Sprzedaż będzie się odbywała w specyalnych trafikach mięsnych. Rozpisuje się konkurs na dzierżawę tych trafik z terminem do 31 lutego 1928 roku.

3) Chcący kupować mięso argentyńskie, powinni na trzy dni przed zakupem wnieść do dotyczącej władzy politycznej, w Krakowie do delegatury c. k. namiestnictwa, podanie ostemplowane na koronę, z załączeniem świadectwa przynależności państwowej, gminnej, świadectwa ubóstwa, metryki chrztu lub urodzenia i moralności. Najwyższa ilość mięsa, jaka może być sprzedana na głowę, wynosi $37^1/_2$ grama.

4) Ustanawia się w tym celu urząd wymiaru mięsa. W skład jego będą wchodzili: kierownik w randze radcy dworu, dwóch koncepistów mięsnych, jeden referent rozbratlów i polędwicy, jeden referent sztuki mięsa, oraz wyznaczyć się mający przez węgierskie ministerstwo spraw wewnętrznych inspektor gulaszu. Na pokrycie wydatków, złączonych z tym nowym urzędem, proponuje ministerstwo skarbu podniesienie o piętnaście procent podatku osobisto-dochodowego, albo też ustanowienie ceny mięsa argentyńskiego za kilogram na 3 kor. 75 i pół hal.

Wiedeń. (Tel *Chwili aktualnej*). W kołach politycznych słychać, iż rząd zamierza jak najrychlej skorzystać z udzielonego mu prawa wstrzymania dowozu mięsa argentyńskiego. Zadecydowała tutaj opinia najwyższej Rady zdrowia, która występuje energicznie przeciw obżarstwu mięsem. Równocześnie drukarnia państwowa przygotowuje popularną broszurę o kuchni jarskiej. Broszura, napisana przez jednego z szefów sekcyi w ministerstwie rolnictwa, będzie wydaną we

wszystkich językach monarchii, ze szczególnem uwzględnieniem polskiego.

Wiedeń. (Tel. c. k. Biura korespond.). Z powodu drożyzny mięsa i wzmożonej konsumcyi jarzyn, ceny jarzyn wzrosły o pięćdziesiąt procent. Oczekiwane jest dalsze podwyższenie.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Wobec podwyższenia cen jarzyn, rząd przygotowuje broszurę o pouczeniu ludności, jak ma żywić się powietrzem. Rząd zamierza energicznie zapobiedz podwyższaniu ceny tego produktu. W tym celu powietrze będzie zmonopolizowane. Na opędzenie kosztów monopolu będzie nałożony na powietrze nieznaczny podatek konsumcyjny. Każdy obywatel otrzyma przy narodzeniu powietrzomierz, podobny do gazomierza. Powietrzomierz zostaje własnością państwa, wypożyczenie kosztuje dwie korony miesięcznie. Opłata od spożytego powietrza, obliczana co miesiąc, będzie wynosiła 10 halerzy za metr sześcienny. W razie zalegania z opłatą dłużej niż dni dziesięć, powietrzomierz będzie zamknięty.

Wiedeń. (Tel. *Chwili aktualnej*). Rząd ze względów zdrowotnych zawiesił import mięsa argentyńskiego. Natomiast, aby umożliwić ubogiej ludności jedzenie taniego argentyńskiego mięsa, kolej udziela zniżek kolejowych klasy trzeciej aż do Tryestu tym wszystkim, którzyby pragnęli wyjechać do Argentyny.

Zamach na p. Brianda.

Paryż. (Ajencya Havasa). Wiadomości pism nacyonalistycznych o rzekomym zamachu na Aristidesa Brianda są zmyślone.

Paryż. (Ajencya Havasa). Dziś przed Izbą deputowanych aresztowano kilka osób, które chciały zlynchować pewne indywiduum, które zamierzyło się na p. Brianda, chcąc uderzyć go w głowę. Nieprawdą jest, o czem donoszą pisma nacyonalistyczne, jakoby ktoś z tłumu zawołał był podczas zajścia: „Daj mu jeszcze z drugiej strony!“

Paryż. (Ajencya Havasa). Uderzenie, jakie otrzymał p. Briand, jest lekkie. Prezydent gabinetu poddał się zbadaniu przez dentystów, którzy zalecili mu odpoczynek parudniowy. Sprawca jest prawdopobnie obłąkany, gdyż zapewnia, że jest przy zdrowych zmysłach. Republice nic nie grozi.

Paryż. (Ajencya Havasa). P. Briand w interwiewie z redaktorem *Matina* oświadczył: „Uderzenie było bardzo nagłe. Myślałem z początku, że to strzał z pistoletu“. *Matin* przypomina, że minister wojny Picquart otrzymawszy w swoim czasie uderzenie nogą prawie w same plecy, oświadczył redaktorowi *Matina*: „Myślałem, że to salwa artyleryi“. Podobieństwo wrażeń jest prawdziwie uderzające.

Paryż. (Ajencya Havasa). Wskutek niecnego zamachu p. Briand jest ciężko chory. Utworzył się związek obrony republiki z Dreyfusem na czele. Radykali zgłosili interpelacyę, co rząd zamierza uczynić, aby zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom. Deputowany Rastaquere przedłożył projekt ubezpieczenia powszechnego posłów i polityków przeciw policzkowaniu. Debata w poniedziałek.

Paryż. (Ajencya Havasa). Zajście z p. Briandem wyjaśnione. Idzie o zwykłą pomyłkę co do osoby. Sprawca, wybitny rojalista, chciał uderzyć księcia Orleańskiego. Prezydent gabinetu p. Briand przesłał księciu wyrazy współczucia. Wiadomości o chorobie p. Brianda nie potwierdzają się.

Ogłoszenia karnawałowe.

„Która matka swe dziecię“ chce widzieć szczęśliwem,
niech dba dlań o rozrywki, bo jest sprawiedliwem,
że po pracy jest dusza zabawy spragniona.
Polecamy przybory więc do kotyliona,
najlepsze, a same nowości krajowe,
od zagranicznych u nas tańsze o połowę.
Towar ten sam się chwali, więc zbyteczne słowo.
N. B. 5% na Szkołę Ludową!

Do kotyliona.
„On i Ona“.

Nowa zabawa w żonę i męża
z rajem w krakowskim stylu. Za węża
„Smok“ magistracki wjeżdża na salę.
Na wszystkie nowość nada się bale,
zwłaszcza na miejskie, te z ministrami,
co szczęścia szlaki ścielą przed nami.
Niemodne kwiaty nowość zastąpi
(na własne oczy ujrzy, kto wątpi).
Zamiast nich „Smok“ w swej doskonałości
różne rozrzuci na świat godności.
On radców z tyłu ma, posłów z przodku,
a kandydackie mówki są w środku.
Automatycznie on bez usługi
sam wszystkie miasta pospłaca długi.
Szczęśliwi będziem, „Smok“ sam to sprawi.
On wszystko połknie i wszystko strawi.

Nowości karnawałowe.
Ordery kotylionowe,
Odznaczenia gremialne,
jak: teki ministeryalne
za wielkość, a „order słonia“
za stylowy cyrk na Błoniach,
zaś za grunta poforteczne
„krzyż nadziei“ złudnej wiecznie.
Za wybory są bez ceny
brylanty „gwiazdy hyeny“;
zwykłej agitacyi trudy
płaci krzyż „Idziego budy“.
I za zmianę przekonania
jest nagroda — i to tania —

więc dla klubów, grup, lub Koła
mamy order „głowy woła“.
Słowem wszelkie odznaczenia
wyjąwszy czystość sumienia,
no i cnotę; te po zgonie.
Co ma wisieć, nie utonie!

Baloniki malowane,
miejskim gazem napełniane,
małe, duże, krągłe, krzywe,
z twarzą ludzką, jakby żywe.
Kiwają się, jak wiatr wieje.
Tamten płacze, ten się śmieje,
jak potrzeba i jak która
tańca wymaga figura.
Jak w życiu, tak w kotylionie,
rzecz polega na szablonie.
Najlepiej tańczą... zera
w zgrabnym ręku aranżera.
Balony dziś modne stale,
cóż dopiero w karnawale?!
Jak się zbytnio nadmie, stęknie,
a w najgorszym razie pęknie.
Że świat jest szeroki, długi,
za t e n balon, będzie drugi.

Do mazura są podkówki,
złote do obcasów skówki.
Jak hołupca skrzeszesz niemi,
zda się ogień buchnie z ziemi.
Hop, hop, hejże ha!
Dana moja, dana.
W pierwszą parę Polityka
z Interesem w tan pomyka.
Ona, jako zwykle, bryka,
on rozgłosu nie unika.
Rżnie muzyka, milknie słowo — —
w drugą parę mazurową
Ambicja z Honorem pędzi,
byle dalej, wyżej, prędziej...
W trzecią parę idzie Moda,
a z nią Szyk, płyną jak woda.
W czwartą Podatek się kusi
iść z Słusznością. Biedna! Musi!
I t. d., tym podobnie
tańczy wszystko dziarsko, zgodnie,
to zalotnie, to wesoło,
naprzód i w tył i znów w koło.
Hen zaś od końca szarego
Wstyd z Skromnością tanu swego
też próbują,
usiłują
zdzierżyć drugim. Taniec nęci,
lecz brak sił — próżne chęci.
Wreszcie solo rżnie Krytyka,
skacze, kozły maga, fika;
im smutniejsza bliźnich dola,
tem łatwiejszą jest jej rola.
Wszystko tańczy, sunie w pląs,
Panna drży, on muska wąs.
Kobiety w schwał, w chłopa chłop.
Dana, dana, hejże hop!
Niema nad mazura takt,
tańczyłbyś go wieczność rad
„Dziś, dziś“, jutro też!
Tańcząc wciąż na jawie śnisz.
Dziś, dziś, hejże ha!
Dziś! Hołupiec! Danana!

Szary Kruk.


B
J
G